M.B. im. L. W. w Łodzi

22 Lipca – Święto Wyzwolenia

W numerze: JAN KOPROWSKI **Skok za miedzę** • ROMAN ŁOBODA **Reportaż teatralny czyli Belzebub po rzeszowsku** • LUCJUSZ WŁODKOWSKI **Guma** • KAROL BADZIAK **Młody człowiek w klubie** • FELIKS BĄBOL **Lato w Świnoujściu** • **Wczasowy konkurs** • **Krzyżówka** • **Felietony** • **Recenzje** • **Nowela**

odgłosu

26. VII. 1970 r.
30 (662)
Cena 1,50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIII

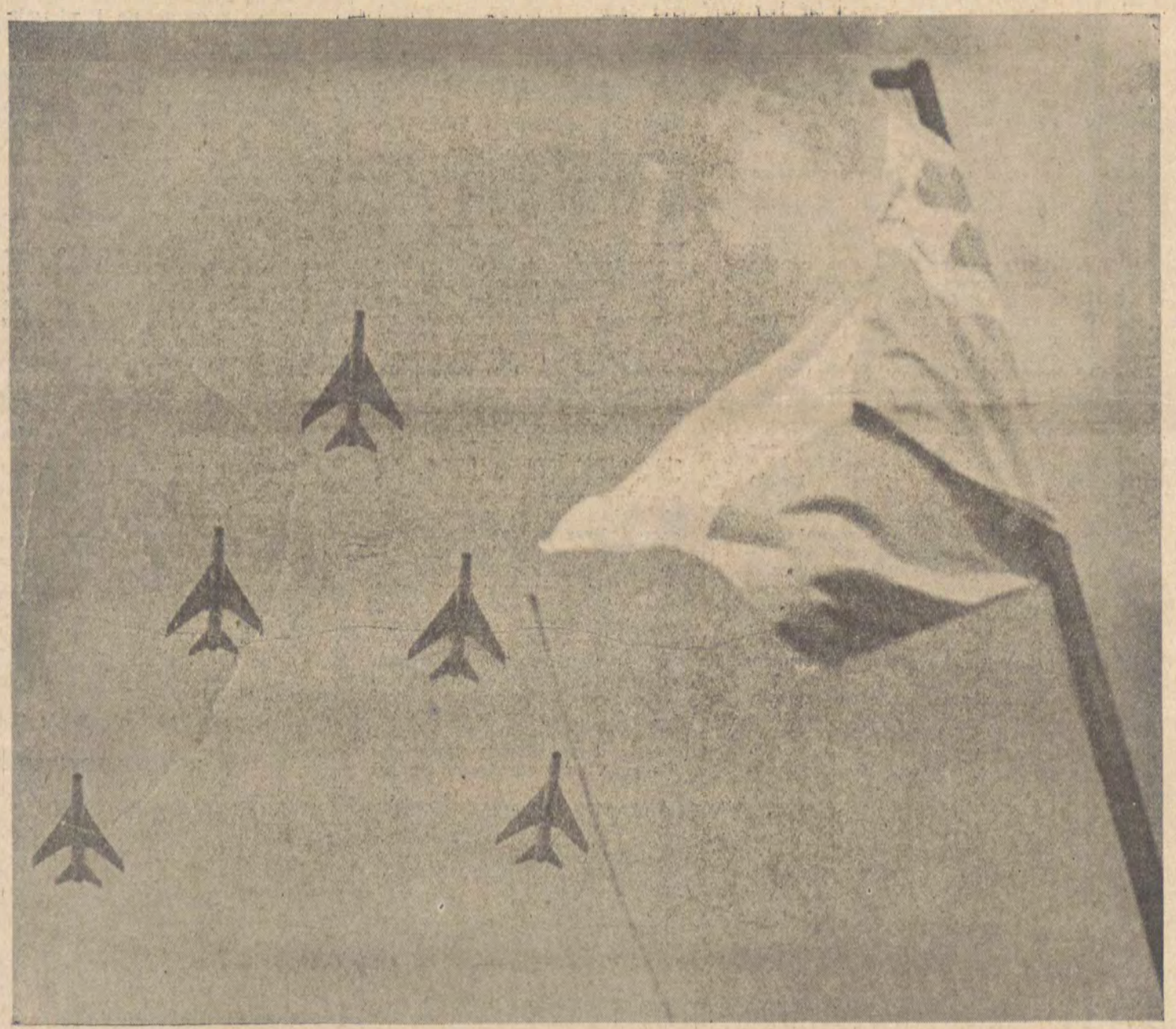

Fot. A. Rubisz

BOGDA MADEJ

Róże i ARCHITEKTURA

Nie wiem jeszcze dokładnie kiedy rozbiorą dom, w którym mieszkam, kiedy samochody stratują róże w ogródku, a ja będę musiała przenieść się w przysługujący mi blokowy metraż. Pewnie wkrótce, bo Dąbrowa rozsiadła się już na dobre na polach, które pamiętam jeszcze z dzieciństwa — spacer z psem aż do kolei, kaczeńce na mokrych łąkach, wielkie małże w stawach ogrodnika. Teraz nawet widok z okna zamykają mi wysokim blokiem.

Nie podoba mi się to osiedle. Wcale nie dlatego, że tak bezwzględnie wtargnęło w moje wspomnienia z dzieciństwa, bo mimo to, udało mi się zachować obiektywizm. Nie podoba mi się, bo identyczne, szaro-bure bloki, ustawione w ciasnych szeregach, przytłaczają niemal koszarową monotonią. Pamiętam też boje, jakie musieli stoczyć wcale nawet nie pierwsi mieszkańcy Dąbrowy, aby uprzytomnić komu należy, że oprócz mieszkań do życia potrzebne są ludziom sklepy, warsztaty rzemieślnicze, przychodnie lekarskie, żłobki, szkoły, przedszkola, poczta itd.

Nie byli osamotnieni w swoich kłopotach. Błędy — tłumaczone potrzebą szybkiej budowy mieszkań — popełniono również na Teofilowie.

Kiedy już rozbiorą mi dom, chciałabym dostać mieszkanie w dzielnicy, która w tej chwili istnieje dopiero na planszach, planach i rysunkach w szóstej pracowni Miastoprojektu. Retkinię — projektu mgr inż. arch. Krystyny Krygierowej, dr inż. arch. Tadeusza Sumienia i mgr inż. arch. Szymona Waltera zlokalizowano na około 600-hektarowym obszarze rozpościerającym się na zachodnim krańcu Łodzi. Będzie ona jedną z największych, jeśli nie największą z dotychczas budowanych dzielnic mieszkaniowych w Polsce, obliczoną na 120 tys. mieszkańców.

☆

Retkinia ma być najnowocześniejszą dzielnicą mieszkaniową Łodzi. Można tę nowoczesność upatrywać w fakcie, że będzie budowana z dokładniej wykończonych wielkopłytowych elementów dostarczanych z Fabryki Domów na Teofilowie, których produkcja sterowana będzie przez urządzenia elektroniczne.

Ja jednak uważam, że nowoczesność Retkini tkwi przede wszystkim w jej koncepcji urbanistycznej.

Projektanci mówią:

— Retkinia będzie budowana kompleksowo.

— Co to znaczy?

— Do tej pory powstawały osiedla, które wprawdzie miały zaplanowane wszyst-

Dalszy ciąg na str. 3

KONRAD FREJDLICH

Ostatniej lekcji nie było

Myślałem, że będą samochody, wiele samochodów zaparkowanych na szkolnym podwórku. Bo niektórzy przybywali z daleka. I wydało mi się logiczne, że przynajmniej oni zjadą tutaj tak, jak by nakazywała ich pozycja społeczna. Są przecież lekarzami, nauczycielami, naukowcami — blisko pół setki osób z wyższym wykształceniem. I to jeszcze, że spotykali się pierwszy raz po trzydziestu latach. Czy w ogóle siebie rozpoznają?

Było z tym trochę kłopotu. Przypatrywali się sobie uważnie. Zresztą niektórzy nie znali tu prawie nikogo, nie mogli znać, bo szkoła, do której kiedyś chodzili, była nietypowa, wędrowna, przenoszona co jakiś czas z mieszkania do mieszkania.

Wszystkich uczniów tej dziwnej szkoły znał tylko jeden człowiek — profesor Adam Kowalski. Siedzi teraz za prezydialnym stołem, skupiony, jakby przygotowywał się do lekcji. Nie, lekcji dziś nie będzie, zresztą profesor już od paru lat nie wykłada.

Do zawodu nauczycielskiego trafił właściwie przypadkowo, po pierwszej wojnie światowej. Szczęśliwy przypadek, mógłby powiedzieć teraz, gdy jego belferska kariera zakończyła się już, po blisko pięćdziesięciu latach pracy w szkolnictwie. A przecież jako młody człowiek marzył raczej o drodze artystycznej i żeby dopiąć swego zatrudnił się w zakładach ceramicznych Ramischa. Dopiero później, po plajcie fabrykanta, będąc bez pracy, kiedy Kowalski wyprzedał wszystko, co posiadał, uczepił się jako ostatniej deski ratunku ogłoszenia o kursie pedagogicznym. Ucząc już w szkole zapisał się na wyższy kurs pedagogiczny w Krzemieńcu i jeździł tam w każde wakacje zdawać egzaminy. Jeździł ze szczególnym upodobaniem, bo kurs obejmował rysunek. Równolegle studiował w Łodzi prywatnie sztuki piękne na kursach Andrzejewskiego.

Ceniono go jako pedagoga, ale nauczanie nie dawało mu dość satysfakcji, musiał się „wyładować artystycznie". Z ramienia rady pedagogicznej Szkoły im. Słowackie

Dalszy ciąg na str. 2

LAUREACI NAGRÓD
Województwa Łódzkiego

Cały kraj czci godnie Lipcowe Święto — rocznicę Manifestu PKWN.

Tradycyjnym już zwyczajem w dniu tym oddawane są do użytku nowe obiekty przemysłowe, socjalne i kulturalne, będące nowymi osiągnięciami naszej gospodarki.

W dniu tym przyznawane są także nagrody ludziom wyróżniającym się na polu nauki i kultury.

Za działalność kulturalno-oświatową, upowszechnianie sztuki i wybitne osiągnięcia w dziedzinie techniki przyznano również doroczne Nagrody Województwa Łódzkiego.

Otrzymali je:

Red. ARNOLD BOROWIK

Dziennikarz Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia za społeczną działalność kulturalno-oświatową.

Arnold Borowik, z wykształcenia prawnik i ekonomista, jako członek specjalnej komisji KW PZPR do spraw aktywizacji i członek komisji propagandy WK FJN, zapoczątkował na terenie województwa łódzkiego akcję aktywizacji małych miast i miasteczek. Od 22 lat pracuje jako dziennikarz.

Red. A. Borowik jest również aktywnym działaczem wielu organizacji społecznych, m. in. SFOS, SFBS, SFBSII. Od wielu lat jest On członkiem Komisji Ideologicznej KW PZPR, a obecnie członkiem Komisji do spraw Sportu i Turystyki KW PZPR.

W uznaniu zasług red. A. Borowik został odznaczony m. in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi, Srebrnym Krzyżem Zasługi, Odznaką Tysiąclecia Państwa Polskiego, Honorową Odznaką Województwa Łódzkiego.

Dyr. MARTA JANIC

Jest jednym ze współorganizatorów Teatru Lalek „Pinokio" w Łodzi oraz jego wieloletnim dyrektorem i kierownikiem artystycznym. Artysta i pedagag, pod którego kierunkiem teatr „Pinokio" był dla wielu autorów, reżyserów, scenografów i kompozytorów warsztatem pracy twórczej. M. Janic z ogromną pasją troszczy się o to, by dawać dzieciom widowiska znakomite, wychowawcze i społecznie zaangażowane. Do chwili obecnej wyreżyserowała 43 sztuki. Pod kierownictwem Marty Janic teatr „Pinokio" stał się jednym z czołowych teatrów lalek w kraju. Nie obniżając poziomu artystycznego, zyskał walor powszechności stając się masowym teatrem ludowym. Wiele wyreżyserowanych przez nią widowisk wiąże się ściśle z Ziemią Łódzką i jej folklorem.

M. Janic odznaczona jest Złotym Krzyżem Zasługi i Odznaką Zasłużonego Działacza Kultury.

Prof. dr GRYZELDA MISSALOWA

Od 1947 r. jest pracownikiem Uniwersytetu Łódzkiego, a od 1957 r. kieruje Katedrą Historii Polski XIX i XX wieku. Prof. Missalowa posiada poważne osiągnięcia w pracy naukowej, dydaktyczno-wychowawczej i społeczno-oświatowej. Tematyka jej prac dotyczy przede wszystkim metodyki nauczania historii, postępowej myśli i ruchów rewolucyjnych w Polsce i we Francji oraz Powstania Styczniowego. Prof. Missalowa była współorganizatorem, a następnie kierownikiem badań nad dziejami regionu łódzkiego. Najwięcej czasu poświęciła badaniom nad początkami kapitalizmu i klasy robotniczej w Polsce a zwłaszcza w łódzkim okręgu przemysłowym. Jest autorką prawie 100 publikacji, brała udział w redagowaniu ok. 50 tomów czasopism i samodzielnych pozycji.

Odznaczona jest Krzyżem Oficerskim i Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Mgr inż. HENRYK WOLSKI

Od 1954 r. pracuje w Zakładach „Komuna Paryska" w Radomsku jako główny energetyk. W swej wieloletniej pracy zawodowej wykazał się dużym zasobem wiedzy teoretycznej i umiejętnością praktycznego jej wykorzystania.

Ogólny dorobek techniczny inż. Wolskiego wyraża się w postaci 22 projektów wynalazczych, które w znacznym stopniu przyczyniły się do wdrażania postępowej techniki w produkcji. Jego wnioski racjonalizatorskie przyniosły gospodarce narodowej ponad 7 milionów złotych oszczędności. Do Urzędu Patentowego PRL inż. Wolski zgłosił 5 wynalazków, z których 3 zyskały patenty m. in. „Sposób cynkowania drutu stalowego o niskiej zawartości węgla oraz urządzenie do stosowania tego sposobu". Inż. Wolski odznaczony jest Złotą Odznaką Zasłużonego Racjonalizatora oraz Honorową Odznaką Woj. Łódzkiego.

Ostatniej lekcji nie było

Dalszy ciąg ze str. 1

go został więc opiekunem Stowarzyszenia Kulturalno-Oświatowego na Chojnach. Prowadził tam sekcję dramatyczną i zorganizował teatr amatorski grupujący dorosłych oraz niezależny od tamtego — szkolny. Dawali regularnie przedstawienia, w każdą niedzielę. Polska klasyka oraz montaże patriotycznej poezji. Kto się przewinął przez tę scenę? Prezesem był Piotr Warchoł, dziś dyrektor dużych zakładów. Inni? Lucyna Stratyńska jest śpiewaczką, podobnie zresztą jak Wacław Dybowski, którego wojna rzuciła do Anglii. Hieronim Przybył, członek szkolnej sekcji dramatycznej, został reżyserem filmowym.

Ale nie ta działalność artystyczna w chojeńskiej szkole rozsławiła imię profesora Adama Kowalskiego. I nie ona zaprowadziła go do tego stołu prezydialnego nakrytego zielonym suknem, nad którym wisi transparent z napisem: TAJNE NAUCZANIE SZKOŁĄ PATRIOTYZMU. A niżej dwie daty: 1939—1945.

Patrzę na salę — już się tam jakoś rozlokowali przy stolikach. Skądś dolatuje szept:

— No, teraz mnie poznajesz?

Chwila ciszy i zdanie wypowiedziane półgłosem:

— Danka, słowo daję, Danka. Nic się nie zmieniłaś, od razu wiedziałam, że to ty.

Szepty krzyżują się, wciąż jeszcze trwa rozpoznawanie, tłumione okrzyki radości, powitania.

A później robi się cicho.

Oddajmy głos profesorowi Kowalskiemu, który zanotował w swoim dzienniku:

„Aż do dnia 22 grudnia (1939 r. — przyp. KF) byłem wychowawcą klasy piątej. Znam wszystkich uczniów z imienia i nazwiska. Znam wielu rodziców i pamiętam ich adresy. Któregoś dnia siadam przy stole i na kartkach wydartych z zeszytu piszę kilka jednakowo brzmiących listów. W listach tych zawiadamiam rodziców, iż mam zamiar prowadzić lekcje domowe na własną rękę, jako, że na otwarcie szkół polskich nie ma co liczyć. Zaznaczyłem, że chcę uczyć dzieci polskiego języka niemieckiego, polskiego i matematyki. W istocie mam zamiar wykładać wszystkie przedmioty z wyjątkiem rysunków, gimnastyki i śpiewu".

Tak się to zaczęło i trwało przez blisko cztery okupacyjne lata. Z wypowiedzi uczestników zjazdu koleżeńskiego można sobie odtworzyć tamten czas, gdy za nauczanie polskich dzieci groziła kara śmierci. Gdy narażał się nauczyciel, rodzice i dzieci. A przecież nauka trwała niemal niezakłócenie. Przez tajne komplety profesora Kowalskiego przewinęło się 244 uczniów.

Początkowo jest nieco sztywno. Wypowiedzi oficjalne zaproszonych gości, prezentacja programu spotkania i cały ten organizacyjny kram. Ale niepostrzeżenie nastrój zmienia się, zabierają głos byli uczniowie. Teraz wszyscy słuchają uważnie. Spoglądam ku pierwszym stolikom: tam wraz z rodzicami siedzą dzieci, dziewczynki i chłopcy. Z napięciem wpatrują się w mównicę. Ktoś obok mnie nie wytrzymuje: słyszę jakieś szelesty i odwracam głowę. Zdjęcia, zdjęcia dzieci.

— Szkoda, że nie przywiozłam swoich dzieci — szepce koleżance młoda kobieta, zdaje się, pani doktor, z Warszawy.

To było tak: początkowo lekcje odbywały się w mieszkaniu Kowalskiego na ulicy Piasecznej. Uczniów jeszcze niewielu, tylko czworo: Wanda Trzepałkowska, Maria Opłatek, Tadeusz Milczarski i Zofia Szuster. Drzwi „polskiej szkoły", jak nazywali komplety uczniowie, otwierały się na umówiony sygnał dzwonka. Pełna konspiracja. Stopniowo dzieci przybywało, komplet rozrastał się. I wtedy nastąpiła pierwsza wpadka — przypadkowa „wizyta" Niemców — na szczęście bez konsekwencji. Ale lokal trzeba było uznać za spalony.

Wówczas szkoła zaczęła wędrować, od mieszkania do mieszkania. Ciągle gdzie indziej, a gdy Kowalski zdobył nowy lokal na ulicy Szymonowicza, także u niego w domu. Trzeba było także zmieniać umówione sygnały do drzwi w obawie przed prowokacją. Na Szymonowicza mieszkał właściciel sklepu, Niemiec, mógł stać się niebezpieczny. Ale wszystko było niebezpieczne: dzwonki zastąpiło drapanie do drzwi, jako zwracające mniej uwagi, książki szkolne noszono dyskretnie ukryte pod sukienkami, pod koszulami. Dzieci rozumiały doskonale, że tak trzeba.

Obok zwykłych lekcji — wieczornice poezji. Polskie słowa upajały, nabierały nowych treści. Strofy o ojczyźnie.

Nie, nikt już nie przestrzega porządku zjazdu. Teraz wystąpienia są spontaniczne. Doktór Trzepałkowska nie może mówić, rozpłakała się na trybunie. Magister chemii, pani Konopka, także nie może mówić, posyła swoją dorosłą już córkę, która odczyta przygotowane wcześniej wspomnienie. Młoda dziewczyna czyta z przejęciem, jakby chodziło o nią samą:

„Widzimy się teraz po dwudziestu siedmiu latach. Sama nie wiem, ale w środku jest coś, co powoduje drżenie rąk, zbyt szybkie bicie serca i piekące ogniki w oczach. Nasz nauczyciel, kochany przez nas i nigdy niezapomniany, jest tak blisko nas, że wydaje się, iż za chwilę wstanie i poprowadzi lekcję. Nie potrafię wyrazić wdzięczności za to, co robił dla nas, za to, że pomógł nam w tamtych czasach. Potrafił wpoić nam dziecięcą miłość do ojczyzny".

Kowalski jest w najtrudniejszej sytuacji — ukryty za bukietami kwiatów, wie doskonale, że właśnie w niego wpatrują się wszystkie oczy. Jego uczniowie, ale już nie dzieci, ludzie dorośli. Jakim pozdrowić ich słowem?

Chwilę milczy na trybunie, zbiera myśli. Jego twarz jest spokojna, tylko drżenie rąk zdradza wzruszenie. Tak, dopiął swego, doprowadził do tego spotkania po latach, dzięki adresom zanotowanym w zeszycie w pierwszych tygodniach po wyzwoleniu. Dokładnie 18 kwietnia 1945, gdy wysyłał do kuratorium pełną listę uczniów wraz z ocenami. Wiele z tych adresów było już nieaktualnych i nie wszystkich uczniów udało się odszukać, mimo pomocy prasy i radia. Zresztą nie wszyscy żyją: ośmiu stracił na zawsze. Jeden z wychowanków, czynnie zaangażowany w organizację spotkania, zginął w wypadku samochodowym na tydzień przed zjazdem koleżeńskim.

Kowalski zaczyna mówić, lekcji dziś nie będzie, jego najtrudniejsza w życiu lekcja. Jaką prawdę przekazać wychowankom, których znał jako rozkrzyczane i rozbawione dzieci? Trudno jest przemawiać do dzieci, ale do dorosłych jeszcze trudniej, zwłaszcza w tak uroczystym momencie. Mówi wspaniale, jego słowa trzymają w napięciu całą salę. Później zwierzył mi się, że jest ze swojego wystąpienia niezadowolony.

— Co innego im chciałem powiedzieć, jakoś jeszcze inaczej — szepnął mi przy stole.

Bo stoły już zastawione. Lemoniadka zniknęła, pojawiło się wino, dużo wina. I gdzieś zgubił się długi stół prezydialny. Teraz wszyscy mieszają się, nikt nie trzyma się stałych, wyznaczonych miejsc.

— Za młodość!

— Za spotkanie!

Głosy krzyżują się i mieszają.

— Dlaczego tyle lat nie pisałeś?

To gdzieś niedaleko mnie.

— A wiesz, na ulicy bym cię nie poznała. Słowo daję.

Ktoś podchodzi do pianina. Więc są wśród nich i muzycy? Melodia jest rzewną, ograna do niemożliwości, a przecież chwytająca za serce. Sala podśpiewuje: „Upływa szybko życie".

Zjazd koleżeński. Po tylu latach. I z takiej okazji.

Kowalski opowiada mi o swojej ucieczce z Łodzi. I ostatniej, okupacyjnej lekcji. Tak, gestapo. Doniósł ten sklepikarz z dołu, Niemiec. Tak, zdążył pożegnać się z dziećmi, zbiegł na Rzeszowszczyznę. Nauka trwała dalej, komplety przejął ktoś inny.

Ciągle nam ktoś przerywa, profesora odwołują na bok jego dawni uczniowie. Wraca z dużą szklanką wina.

— Widzi pan — powiada — wiedziałem, że musimy wygrać jako naród. A nauka była walką. Rozumiałem to dobrze.

Na sali kolejne odśpiewanie pieśni, która uprzytamnia nam, że życie upływa szybko.

Kowalski prowadzi mnie na półpiętro klatki schodowej, gdzie we wnęce stoi rzeźba przedstawiająca patronkę szkoły, Sczaniecką, dłuta profesora. Niżej słowa: „Miłuję wszystko, co polskie nosi imię".

Milczymy, rozumiemy się bez słów.

KONRAD FREJDLICH

Fot. A. Wach

Róże i ARCHITEKTURA

Dalszy ciąg ze str. 1

kie niezbędne instytucje i placówki usługowe, ale budowano je z pewnym, czasem znacznym opóźnieniem. Wynikało to z faktu, że w gruncie rzeczy osiedla te stanowiły integralne części wielkiego miasta. Retkinia będzie niemal samodzielnym miastem, powstającym obok Łodzi — miastem satelitą — powiązanym z resztą układem komunikacyjnym.

— To jeszcze nie wyjaśnia zasady kompleksowości.

W tym momencie moi rozmówcy pokazali mi najpierw plan całej dzielnicy, składającej się z pięciu zespołów, a potem planszę pierwszego, tzw. Retkini-Wschód, której budowa rozpocznie się już w roku przyszłym, a ukończenie nastąpi w 1975 roku.

— Proszę popatrzeć. Tu widzi pani domy mieszkalne, tutaj będzie szkoła, tu żłobek, tutaj sklepy, do których zagląda się codziennie, te większe pawilony będą oferowały szerszym wyborem towarów, te ciemne płaszczyzny to parkingi i garaże z urządzeniami do mycia samochodów. Duże, wolne przestrzenie między domami, to ogrody osiedlowe i dziecięce place zabaw, które naszym zdaniem są tak samo potrzebne, jak sklepy, kawiarnie czy stadion sportowy. Następną część dzielnicy rozpocznie się budować dopiero wtedy, gdy Retkinia-Wschód będzie mogła żyć samodzielnie.

Kompleksowość budowy Retkini polega więc z jednej strony na tym, że jeden zespół osiedlowy będzie powstawał w sposób uporządkowany — razem z mieszkaniami sklepy i pawilony usługowe — a z drugiej — na tym, że pięć takich zespołów osiedlowych złoży się na całość uzupełnioną instytucjami niezbędnymi w 100-tysięcznym mieście.

☆

Złośliwi mieszkańcy innych miast nie bez podstawy mówią, że Łódź to Piotrkowska. Sami zresztą tak myśleliśmy i jeszcze myślimy, czego przykładem są tłumy biegające ul. Piotrkowską od sklepu do sklepu.

Nowe dzielnice, które otoczyły Łódź wianuszkiem bloków powoli wpływają na zmianę sposobu myślenia. Powoli, bo i na Teofilowie i na Dąbrowie i na Kuraku ośrodki administracyjno-handlowe, albo niedawno się ukształtowały, albo powstają dopiero teraz. Są to także skutki dawnych prób zatrzymania ludzi w miejscu pracy dłużej niż osiem godzin, w klubach, domach kultury, świetlicach, nawet niektórych punktach usługowych. Życie obaliło te próby, bo człowiek po pracy chce po prostu wrócić do domu.

Odchodzimy więc od Piotrkowskiej w kierunku Teofilowa, Dąbrowy, Osiedla im. Władysława Bytomskiej, Kuraka, Kozin czy Nowego Rokicia. Są to jednak osiedla, które mimo kształtujące się centra, stanowią tylko część większych skupisk miejskich — Bałut, Górnej, Widzewa czy Polesia. Jeśli przyjąć nowoczesny sposób myślenia zastosowany przy projektowaniu Retkini, to i w starych dzielnicach Łodzi powinny również powstać centra, których wielkomiejskie funkcje będą wiązać i jednoczyć dany obszar miasta. Takiego centrum nie mają ani Bałuty, ani Widzew, ani Polesie, ani nawet Górna, choć niektórzy uważają, że postawienie „Motozbytu" i „Uniwersalu" załatwiło już problem. W tej sytuacji, jeśli nawet chciałoby się odejść od ul. Piotrkowskiej, to wypadnie z powrotem na nią wrócić.

☆

Próbę oderwania się od dominującej roli ul. Piotrkowskiej stanowi konkurs Stowarzyszenia Architektów Polskich na przyszłe centrum Bałut.

Postanowiłam odszukać autorów wyróżnionego w tym konkursie projektu. Jednego z nich złapałam dosłownie na godzinę przed odjazdem do Zakopanego. Obiecał napisać list i słowa dotrzymał.

Szanowna Pani!

Przykro mi, że nie mogłem przedstawić Pani tego wszystkiego osobiście, ale postaram się nadrobić to teraz. W warunkach konkursu powiedziano m. in.: „zachować placowy charakter Rynku Bałuckiego". Szukając różnych rozwiązań postanowiliśmy skorzystać z możliwości, jakie daje koncepcja rynku renesansowego. Daliśmy nawet ratusz.

Kiedy Bałuty były jeszcze przedmieściem biedoty, posiadały targowisko zwane rynkiem. Nazwa określała tutaj jedną z funkcji (handel), a ów rynek nikomu nie kojarzył się z rynkiem — placem, który jest np. w Krakowie. Bałuty ma zamieszkiwać w 1985 roku około 250 tys. mieszkańców, a w XVI wieku w Krakowie mieszkało 20 tys. osób, którym wystarczał znany nam dziś rynek — kwadrat o boku 200 m. Porównanie obszaru miasta Krakowa z Bałutami jest jeszcze lepsze. Otóż Kraków bez Wawelu i Kazimierzy zajmował wtedy teren mniej więcej równy temu, który był przedmiotem konkursu, tzn. kawałka Bałut zawartego między ul. Zachodnią, Dolną, Franciszkańską i Wojska Polskiego. Tu ma być centrum — rynek dzielnicy dla 250 tys. ludzi.

Jeśli w skład budowanego centrum wchodzi jakiś stary rynek, to szanuje się go, wykorzystuje, bo to jest atmosfera i więzy z przeszłością. Dlatego zachowaliśmy w projekcie Rynek Staromiejski, rozszerzając świadomie zakres ośrodka i opracowania, idąc pod prąd programowi, bo chcieliśmy Rynek Staromiejski odratować z martwoty.

A teraz króciutko, jak widzimy centrum Bałut.

Daliśmy na miejsce ruder trochę zieleni, łącząc ją z Parkiem Staromiejskim, ciągiem spacerowym, wzdłuż którego grupowałaby się drobna gastronomia, kultura, hotele. Natomiast w zieleni jest miejsce na nowoczesne „termy" w adaptowanym budynku szpitala im. Heleny Wolf. Handel i zasadnicze usługi rozmieściliśmy na osi Wschód-Zachód, która w pewnym miejscu, na dzisiejszym Rynku Bałuckim — rozszerza się tworząc plac — forum, a administrację daliśmy przy ul. Zachodniej, bo najdogodniejszy dojazd.

Budynków wysokich zrobiliśmy mało, ale zamykają one najważniejsze widoki — z ul. Piotrkowskiej, Limanowskiego, Łagiewnickiej, Władysława Bytomskiej i Wojska Polskiego — czyli, że zewsząd widać, gdzie to centrum jest. W ogóle staraliśmy się projektować nie teoretycznie, a właśnie dla tego miejsca, dla tych ulic, dla tego miasta, żeby nie było koniecznie jak wszędzie, ale żeby było w Łodzi, na Bałutach. I to jest wyznanie najbardziej subiektywne.

Dla nas najważniejsze jest to, żeby ten „rynek" został w ogóle zaczęty (projekt) i zrealizowany. I pewno, że chciałbym przy tym być i chyba większość naszego zespołu prócz żony — która chce mieć osiem godzin dziennie spokoju, czyli nie zajmować się tym samym co ja i nie w tym samym miejscu pracy.

☆

Życzę autorom projektu — mgr inż. architektom: — Ryszardowi Daczkowskiemu, Bogusławie Michalak, Edwardowi Scegielniakowi, Mirosławowi i Weronice Wiśniewskim i Krzysztofowi Wiśniowskiemu, aby ich projekt doczekał się realizacji. Bo podoba mi się pomysł z renesansowym kształtem rynku, ratuszem, z tramami i zielenią na miejscu ruder. Życzę tym bardziej, że „Protokół zamykający konkurs SARP nr 444" stwierdza:

„Sąd konkursowy reprezentuje kategoryczny pogląd, że powodzenie realizacji można osiągnąć wyłącznie przez powierzenie kompleksowego opracowania zespołowi autorskiemu, a w wypadku niemożności tego postuluje się powołanie zespołu projektowego odpowiedzialnego zarówno za projekt generalny ośrodka, jak i projekty realizacyjne".

Zdaję sobie jednak sprawę, że od moich osobistych upodobań i życzeń ważniejsza jest metoda szukania rozwiązań, która każe wybiegać myślą daleko w przyszłość, a nie ograniczać się tylko do projektów mających dziś warunki realizacji. Nawet za cenę świadomości uczestników konkursu, że ich projekt może okazać się jedynie tworzywem dla innych planów. Bo konkurs na centrum Bałut pomyślany był jako konkurs studialny, co znaczy, że miał dać szereg koncepcji architektoniczno-urbanistycznego ukształtowania Bałuckiego Rynku, które pomogą przy budowie centrum Bałut.

Nowoczesność tego typu myślenia polega na tym, że nie ogranicza się planowania tylko na jutro. Znając cel umieszczony daleko w przyszłości, realizuje się go kolejnymi etapami.

I tak właśnie postąpiono w przypadku Retkini i tak powinno realizować się centrum Bałut.

☆

Wiem, że samochody pewnego dnia stratują moje róże za oknem. Nie jest mi jednak obojętne, jaki będzie nowy widok z mojego nowego okna. Chcę mieć pewność, że w tym, co się będzie budowało, nie powtórzą się dotychczasowe błędy. Bo cokolwiek by się mówiło architektura i urbanistyka są sprawami obchodzącymi nas wszystkich.

BOGDA MADEJ

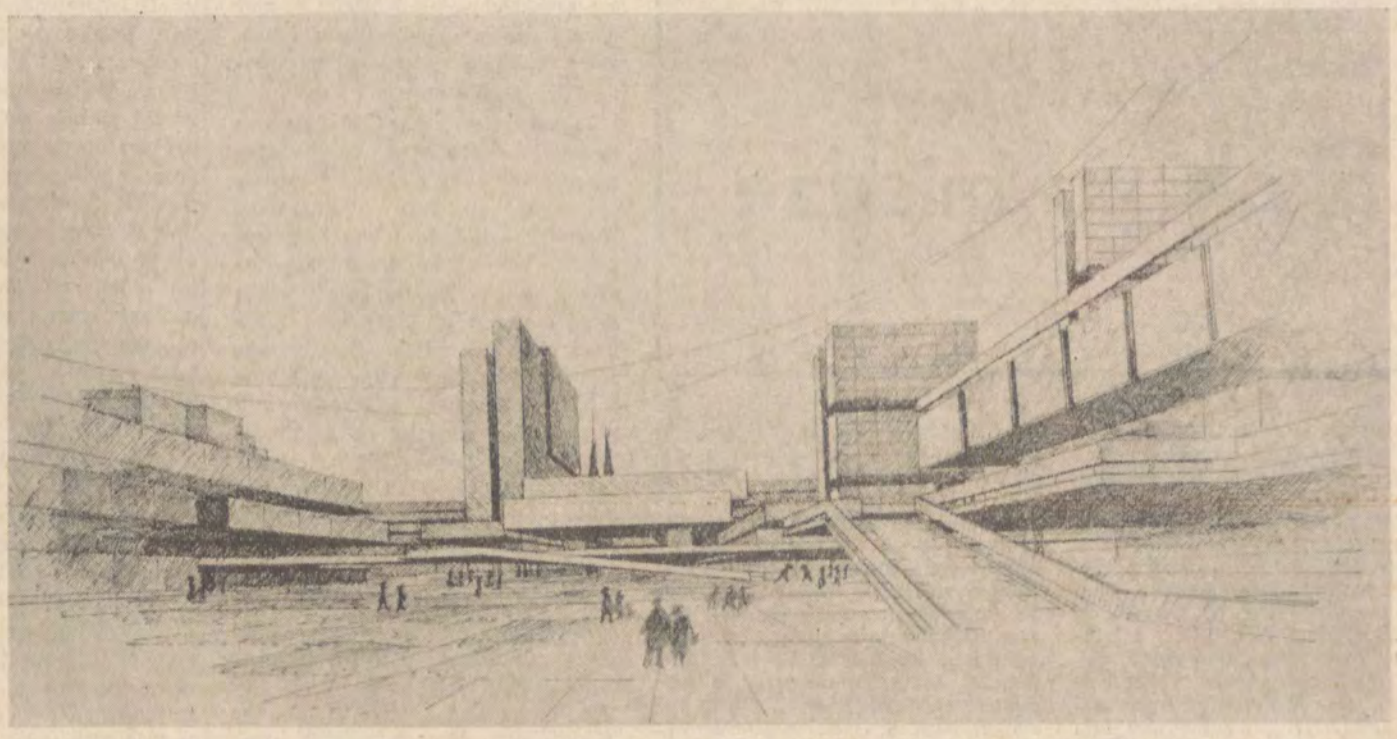

Fragment przyszłego Centrum Bałut — rys. mgr inż. arch. M. Wiśniewski

Listy do redakcji

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

Mieszkam w Łasku i od lat jestem zagorzałym czytelnikiem „Odgłosów". Przyznam, że coraz częściej znajduję materiały publicystyczne, które w jakimś, może niezbyt szerokim, ale przecież poważnym sensie, dają mi satysfakcję i zadowolenie. Jednakże nie samymi pochwałami pismo żyje, dlatego chcę przesłać Panu kilka uwag krytycznych. Otóż chodzi o tak prozaiczną sprawę jak o wiadomości o moim rodzinnym mieście. Łask uzyskał prawa miejskie od samego króla Władysława Jagiełły w 1422 roku, co stawia to miasto w rzędzie najstarszych miast naszego województwa. Tymczasem na łamach Pańskiego pisma nie ma ani jednej wzmianki o Łasku. Czy tam o Zduńskiej Woli, o Zelowie, o Aleksandrowie a o nas nic! Czy to ładnie tak?

Gdyby ktoś z redakcji pofatygował się do nas, to zapewniam Pana, że byłoby o czym pisać. Wystarczy posiedzieć wieczorem w „Oazie" albo u samego Flejtucha (taka prywatna mordownia), albo chociaż w „Popularnej"! Zobaczyłby Pan jak się bawią mieszkańcy Łasku i jak odpoczywają. A zresztą jest wiele innych rzeczy godnych zarówno uwagi jak i napisania o nich.

Łączę wyrazy szacunku

ANDRZEJ MAJEWSKI

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

Należę do tych czytelników „Odgłosów", którzy dzielą swój czas na podążanie do stolicy i wybywanie z tejże, mam więc co dni parę kilka godzin absolutnego nieróbstwa, zagwarantowanego mi w wymiarze ponadplanowym przez przedsiębiorstwo o nazwie PKP. W tym czasie nachodzą mnie różne myśli, takie jak np. ochota napisania dla Pańskiego Pisma artykułu o wydłużaniu się czasu, który trzeba poświęcić na przebycie drogi z Warszawy do Łodzi i odwrotnie, a zatem i o osobliwym zjawisku jakiegoś względnego w kilometrach, bez względnego w czasie oddalania się naszego miasta od wszechmocnej Centrali. Nie śmiem myśleć o poważniejszych reperkusjach tego osobliwego zjawiska i nie o nie mi chodzi. Otóż okoliczność, że nasza Łódź ucieka jakoś od stolicy staje się od niej, dzięki niezmordowanym wysiłkom PKP coraz to dalsza, sprawia — a może wydaje mi się, że sprawia — że jest coraz mniej w tej stolicy obecna. Nie, nie chodzi mi o to, że dawniej więcej łodzian pracowało w Warszawie, zaludniając po brzegi ranny pociąg pośpieszny, dziś zaś dostawszy mieszkania osiedlili się nad Wisłą. Chodzi mi o coś całkiem prozaicznego. Kiedyś — a było to w zeszłym tygodniu — wybitny warszawski publicysta (powiem Panu na ucho o kogo chodzi, naprawdę wybitny) — z triumfem powiada mi — „wie Pan, dostałem łódzkie „Odgłosy", coś tam o mnie napisali". I co? Dobrze? Zapewne. Ale i źle. Dlaczego „Odgłosy" się tylko „znajduje" czasem, przypadkiem, lub w wyniku poszukiwań. Często nie ma ich nawet na przewspaniałej Warszawie — „Centralna".

Aha, powie Pan, filuternie mrugając okiem, niby, że nie wie Pan? A ja właśnie nie wiem i kropka. Łączę wyrazy poważania.

W pociągu z Warszawy do Łodzi.

NAPOLEON ŻÓŁTOWSKI

JAN KOPROWSKI

Skok za miedzę

Co nowego można napisać o mieście, w którym bywało się wielokrotnie? O mieście opisanym w setkach reportaży, w wierszach i powieściach, w którym rozgrywają się akcje wielu filmów i sztuk teatralnych? Krótko mówiąc — co nowego można napisać o Berlinie. Pierwszy raz przybyłem do Berlina w 1947 roku, kiedy mówiło się o nim „Vier-Sektoren-Stadt" (miasto czterech sektorów) i kiedy nie istniały jeszcze ani NRD, ani NRF i władzę nad miastem jak zresztą nad całymi Niemcami sprawowały cztery zwycięskie mocarstwa. Pamiętam pierwszy powojenny kongres pisarzy niemieckich, kiedy żyli jeszcze i uczestniczyli w nim blisko dziewięćdziesięcioletnia Ricarda Huch (zmarła w dwa tygodnie później), „szalejący reporter" Egon Erwin Kisch, Erich Weinert, Lion Feuchtwanger, Friedrich Wolf (późniejszy ambasador NRD w Polsce), Johannes R. Becher, a z Moskwy, jako goście przyjechali Walentyn Katajew, Wsiewołod Wiszniewski i Borys Gorbatow (dwaj ostatni także już nie żyją). Wielu z nich poznałem osobiście, Katajew podarował mi z dedykacją opasły tom swoich „Powiesti i razkazow", a od Anny Seghers otrzymałem „Das siebte Kreuz". Mieszkałem wówczas w brytyjskiej części Berlina — na Hallensee, skąd przez Kurfeurstendamm chodziłem codziennie do pracy w Polskiej Misji Wojskowej. Miasto było bardzo zniszczone, kikuty wypalonych domów straszyły w dzień i w nocy, ludzie ubrani byli biednie, poszukiwali pracy i głodowali.

Następnym razem pojechałem do Berlina w 1955 roku. Istniały już dwa państwa niemieckie, stolicą Niemieckiej Republiki Demokratycznej została ta część miasta, którą administrowali przedstawiciele radzieccy. Młoda republika zabierała się do odbudowy spalonej i zniszczonej stolicy. Stało już berlińskie wydanie (poprawione) warszawskiej MDM, ale słynny Aleksanderplatz leżał jeszcze w gruzach, i nie wiadomo było, kiedy zostanie odbudowany. Znowu minęły lata i znowu znalazłem się w Berlinie.

W lipcu roku bieżącego pojechałem do tego miasta bodaj po raz siódmy po wojnie. Dziś stolica NRD jest w znacznym stopniu odbudowana i przebudowana. Imponująca wieża telewizyjna na Aleksanderplatz przyciąga codziennie tłumy ludzi, którzy pragną dostać się do kawiarni-rotundy, obracającej się w ciągu godziny dokoła swej osi, aby przez jej okna oglądać rozległą panoramę miasta. Oczywiście i myśmy tam pośpieszyli, zwłaszcza, że tego dnia pogoda była przepiękna i z wysokości 200 metrów patrzyliśmy na wschodnią i zachodnią, północną i południową część Berlina. Pora w tym miejscu wyjaśnić, jaki był cel mej podróży.

Otóż wybrałem się do Berlina wraz z Michałem Rusinkiem, generalnym sekretarzem PEN-Klubu, dyrektorem Agencji Autorskiej, znanym pisarzem, autorem głośnych przed wojną powieści „Pluton z dzikiej łąki" i „Burza nad brukiem", a po wojnie — pamiętnika obozowego „Z barykady w dolinę głodu" (naturalnie i wielu innych utworów). Jako przedstawiciele Związku Pisarzy Polskich wespół z autorami, wydawcami i polonistamj niemieckimi zastanawialiśmy się, jaki jest stan przekładów z literatury polskiej na niemiecki i z niemieckiej na polski, co należałoby przyswoić naszym językom z dorobku współczesności, a także i z klasyki, aby obraz naszych literatur był pełniejszy, nie zawierał podstawowych luk i dawał istotne pojęcie o bogactwie i charakterze kultury polskiej w NRD i niemieckiej w Polsce. Wypada zauważyć, że w ostatnich latach znacznie zwiększyła się ilość tłumaczeń książek naszych pisarzy na język niemiecki, co w dużej mierze zawdzięczamy kiku wytrawnym przekładowcom jak Henryk Bereska i Kurt Kelm oraz pani Jutta Janke, która w wydawnictwie Volk und Welt prowadzi dział polski i w dużej mierze dzięki jej staraniom wyszła większość przekładów ze współczesnej literatury polskiej. Posiada ona istotnie doskonałą znajomość spraw polskich, weźmie też ona (wraz z wymienionymi wyżej przekładowcami) udział w zjeździe tłumaczy z literatury polskiej, który w październiku odbędzie się w Warszawie.

Chociaż Berlin nie jest miastem szczególnie pięknym, za każdym razem jadę tam z ciekawością, by przyglądać się jego rozbudowie, spotykać z ludźmi i zawierać nowe znajomości. Zadaję sobie pytanie: dlaczego w Berlinie buduje się lepiej niż w Warszawie i innych miastach Polski? Dlaczego standard budownictwa jest tam wyższy niż u nas? Dlaczego domy wyglądają piękniej i solidniej? Dlaczego w restauracjach jest lepsza obsługa, a w sklepach sprzedawcy uprzejmiejsi i życzliwsi dla ludzi? Dlaczego książki są ładniej wydawane i z reguły na lepszym papierze? A przecież w NRD odczuwa się brak rąk do pracy. Na Aleksanderplatz stanął potężny 30-piętrowy hotel „Der Stadt Berlin". Opowiadano nam, że nie można go oddać w terminie do użytku ludności, ponieważ brak dostatecznej ilości kelnerów, pokojówek, sprzątaczek itp. Na wielu budowach zatrudnieni są polscy inżynierowie i technicy, w różnych miastach NRD pracują nasi lekarze. Są to poważne kłopoty dla młodego państwa, które obchodziło niedawno dwudziestolecie swego istnienia, a przecież z roku na rok sytuacja u naszego zachodniego sąsiada ulega zmianie na lepsze. I to pod każdym względem. Telewizja od dawna nadaje dwa programy, które są wcale niezłe. Nie bez pewnego znaczenia jest tu fakt, że w Berlinie można odbierać również trzy programy telewizji zachodnioberlińskiej, co stanowi nie lada doping dla wschodnioniemieckich pracowników w dziedzinie tzw. masowych środków przekazu. Jak się okazuje konkurencja również i w działalności kulturalnej może dawać dobre rezultaty.

Nasze narady odbywały się w siedzibie Związku Pisarzy Niemieckich, skąd do hotelu „Berolina" droga wiedzie przez Unten den Linden, Friedrichstrasse i właśnie Aleksanderplatz. Jeszcze do niedawna Aleja pod Lipami była ulicą martwą. Teraz jest to wielkie corso spacerowe. Unten den Linden odbudowana w całości, po obu stronach piękne sklepy, Opera, Zeughaus, Ambasada PRL, Uniwersytet im. Humboldta. Uniwersytet nie taki znowu stary (powstał w 1810 roku), ale jakie przeszły przez niego tuzy nauki i filozofii niemieckiej: Fichte, Schelling, Ranke, Mommsen, Schleiermacher, no i przede wszystkim Hegel. O tym ostatnim czytałem gdzieś piękną anegdotę. Hegel nie był oratorem, mówił raczej z trudem i jako wykładowca nie cieszył się powodzeniem u studentów. Z czasem też zawiesił wykłady uniwersyteckie z powodu braku słuchaczy. Kiedy go zapytano, jak ocenia swoją przeszłość profesorską, odpowiedział: „Spośród różnych słuchaczy, jakich miałem, tylko jeden mnie rozumiał. A i on mnie nie zrozumiał".

W planie Berlina z załączoną częścią opisową wyczytałem, że miasto powstało około r. 1230, ale że „prawdopodobnie istniały tu już starsze osiedla słowiańskie". U starego Orgelbranda (wydanie z r. 1900) można wyczytać, co następuje: „Co się tyczy Berlina, był on pierwotnie osadą Słowian Stodoranów". Jeśli nie wiecie, co to byli Stodoranie, zajrzyjcie, proszę, do encyklopedii. Zresztą co tam Orgelbrand. Wystarczy wziąć do ręki dzisiejszą książkę telefoniczną Berlina. Roi się w niej od nazwisk słowiańskich, a osobliwie polskich. Oto kilka nazwisk zanotowanych przeze mnie na wyrywki: Kordecki, Młynkiewicz, Modrzyński, Szopiński, Szotkiewicz, Synowski, Sutkowski, Świderski, Świerczyński.

Historyk i publicysta francuski, Jacques Ancel, napisał przed wielu laty zdanie, które posiada niezwykle dramatyczną zawartość: „Znaczna część terytorium dzisiejszych Niemiec jest niczym innym jak tylko cmentarzyskiem Słowian".

Znajomi, którzy mnie pytali, co sobie przywiozłem z Berlina, byli bardzo zdziwieni, gdy im odpowiedziałem: „Książkę, której poszukiwałem od lat, mianowicie „Aphorismen, Essays, Briefe" Georga Christopha Lichtenberga". Myśliciel ten żył w osiemnastym stuleciu (1742—1799), ale to, co napisał, brzmi tak współcześnie jakby wyszło spod pióra wczoraj. Nie mogę się dość nadziwić, jak mogła w owych czasach egzystować tak oryginalna, rzekłbym: tak olśniewająca umysłowość. Trzeba będzie wprowadzić go do planu tłumaczeń na język polski, tym więcej, że nigdy go do tej pory (co też trudno zrozumieć) nie przekładano. Póki to jednak nastąpi, zacytuję kilka próbek jego pióra. (Nie jest wykluczone, że właśnie ja przyswoję go polszczyźnie). Oto wybrane na chybił trafił aforyzmy i myśli Lichtenberga:

Padał tak wielki deszcz, że wszystkie świnie stały się czyste, a wszyscy ludzie brudni.

Do największych odkryć, dokonanych w czasach najnowszych przez umysł ludzki, należy — według mego zdania — sztuka oceniania książek, których się nie czytało.

Powiedzcie, czy jest taki kraj poza Niemcami, gdzie wpierw uczą nosa zadzierać, niż wycierać?

Nie mogę, oczywiście, powiedzieć, czy będzie lepiej, gdy będzie inaczej. Ale tyle powiedzieć mogę, że musi być inaczej, aby mogło być dobrze.

Nie ma rzeczy starszej na świecie, niż wczorajsza gazeta.

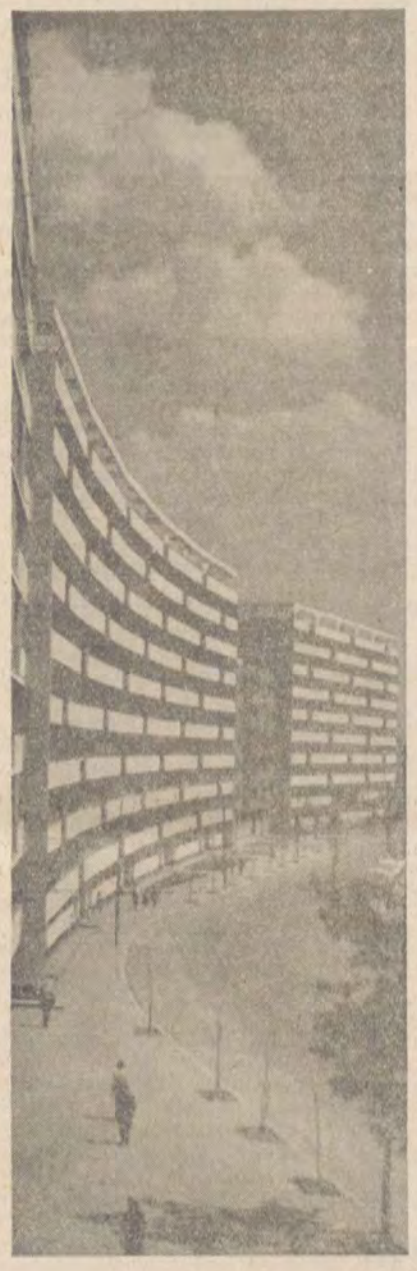

ROMAN ŁOBODA

REPORTAŻ TEATRALNY czyli BELZEBUB PO RZESZOWSKU

A do Rzeszowa, proszę ja państwa, to przez Warszawę się jedzie. Każdy rozsądny człowiek wyrazi powątpiewanie, lecz nie każdy rozsądny człowiek jeździ do Rzeszowa lub studiuje rozkład jazdy. Można oczywiście i krótszą drogą — bezpośrednio na południowy wschód, nie kierując się na północ; ale to nie takie proste. Z Łodzi do Rzeszowa nie ma pośpiesznego pociągu, z powrotem również — bo i po co? Komu w Łodzi się śpieszy i dokąd? Co innego Stolica. A... tam czas jest drogi, no i ludzie też cenią sobie siebie centralnie. Czy to źle? Chyba nie.

Jest pociąg pośpieszny z Warszawy do Rzeszowa, lecz mało kto jeździ pociągiem, można przecież samolotem przelecieć dziesięć razy szybciej, a koszt niedużo większy — więc po co? Każdy rozsądny człowiek zdziwi się: jak to, w Rzeszowie jest lotnisko pasażerskie? Ano jest. A w Łodzi nie? Ano nie. Ale było. Więc co? Przecież nie tylko w Rzeszowie, także w Gdańsku, Szczecinie, Krakowie, Wrocławiu, Poznaniu, Katowicach i nawet Koszalinie (sezonowe) są lotniska.

Ale każdemu rozsądnemu człowiekowi można dać rozsądniejszą od niego odpowiedź: jeżeli jest lotnisko w Warszawie, to nie ma potrzeby, żeby było w Łodzi. Zrozumiałe? Tak więc człowiek nie uświadomiony turystycznie jedzie do Rzeszowa całą noc. Nie ma również potrzeby, by jedyny nocny pociąg osobowy z Łodzi do Rzeszowa (wyjazd 23.47, przyjazd 10.10) miał wagon sypialny. Nikogo o to głowa nie boli. Niechby panowie odpowiedzialni za taki stan rzeczy sami kiedyś przejechali takim pociągiem, którym praktycznie się jedzie nie przeszło 14 godzin, lecz 16 do 17, bowiem zawsze ma duże opóźnienie; niechby później, po takiej nocy spróbowali cośkolwiek załatwić i zechcieli wrócić takim samym pociągiem na rano do pracy, jak to niekiedy niektórzy muszą robić. W tym stanie rzeczy, powtarzam, do Rzeszowa się jedzie przez Warszawę — przez Warszawę w ogóle do różnych miejsc się jedzie, jeżeli dobrze spojrzeć na mapę.

Ta bliskość ze Stolicą nie rozwiązuje nam komunikacji, wielu spraw nie rozwiązuje ta bliskość, bo jest zbyt odległa. Przeto przeszło siedemset pięćdziesięciotysięczne miasto, drugie miasto w Polsce, a pierwsze w przemyśle, nie musi swoich racji argumentować specyfiką położenia geograficznego, nie musi uzasadniać swoich praw do pełnych usprawnień cywilizacyjnych, do rozwoju ekonomicznego i kulturalnego w ogóle czymkolwiek, gdyż byłoby to wyważaniem drzwi otwartych.

A w Rzeszowie od rana lało jak z cebra. Na szczęście do hotelu blisko. Po dziesięciu latach miasto zmieniło swój wygląd. Nabrało rozmachu. Szeroka autostrada, nowa dzielnica mieszkalna, kilka nowych kawiarni i lokali, piękny Klub Prasy i Książki — tego wszystkiego nie było podczas mojej ostatniej bytności w tym mieście. Nie było również Oddziału Związku Literatów Polskich w Rzeszowie. Nie jest to oczywiście ewenement; wiele polskich miast, mniejszych i większych, zmienia swój wygląd z dnia na dzień. Ktoś, kto długo nie był w Łodzi, gdyby zechciał obejrzeć jej nowe dzielnice, byłby zapewne oszołomiony rozmiarami rozbudowy i nową urodą młodych dzielnic miasta, przy czym niełatwa przebudowa wielu ulic w samym centrum miasta rzuca się w oczy. Wydaje się jednak, że bardziej zniszczone wojną miasta dziś, po dwudziestu pięciu latach wytężonej pracy i ofiarności, zyskały większą funkcjonalność i nowoczesność rozwiązań urbanistycznych oraz, co jest mniej wymierne, nauczyły się większej bojowości i nabrały hartu w „walce" o realizowanie lokalnych dóbr, które są przecież ogólnonarodowymi dobrami. W ten sposób zdeterminowana historycznie społeczna zdolność podejmowania inicjatyw i wytrwałość w ich realizowaniu mogła tu i ówdzie utrwalić się jako jeszcze jedna z naszych cnót narodowych.

Rzeszów nie należy do miast, które zbytnio ucierpiały podczas działań wojennych, należy jednak do miast, które awansowały do rangi stolic wojewódzkich, a przez to ich rozwój został oparty na podobnym dynamiźmie przyśpieszonego wzrostu. Promotorem jest tu nie dążność do wyrównywania strat, lecz zdrowo pojęty awans społeczny. Taki Toruń na przykład jest jakby negatywem tego zjawiska, ale tego typu porównania i wnioski nie tylko przekraczają ramy niniejszego reportażu — są obszernym tematem do interesujących opracowań naukowych.

Rzeszów ma jeden teatr. Teatr im. W. Siemaszkowej, był w dniach 6—8. VI. br. miejscem Rzeszowskich Spotkań Teatralnych. W spotkaniach wzięły udział trzy teatry: Tear Polski z Wrocławia, Stary Teatr z Krakowa i teatr rzeszowski.

Pierwszy dzień rozpoczął się „Pierwszym dniem wolności" Leona Kruczkowskiego w reżyserii Jerzego Krasowskiego.

Nie ma potrzeby streszczać w tym miejscu sztuki znanej i ogranej, ograniczę się tylko do przypomnienia, że problem wyboru, który nieodłącznie i w każdej chwili towarzyszy każdemu wolnemu człowiekowi, stanowi motto sztuki i to zostało przez Krasowskiego mocno wyeksponowane. Re-

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

GUMA

Nie lubię kaloszy. W czasach mego dzieciństwa prawdziwi mężczyźni nosili podkute buty. W kaloszach chodził pewien nauczyciel, który dobrze dał mi się we znaki i pewien lekarz, który też nie pozostawił najlepszych wspomnień. Jak więc mogę lubić kalosze? Dlatego bardzo byłem zaskoczony, gdy pewnego dnia na nogach Trantura Torotsena zobaczyłem długie kalosze, zapinane na finezyjne klamerki. Nie mogłem się do tego przyzwyczaić. Zakładał je na buciki, gdy tylko zaczynała się nasza jesień i zdejmował wraz z nadejściem wiosny.

Trantur był Islandczykiem, widać w jego kraju są takie zwyczaje — myślałem — i usiłowałem być tolerancyjny. Trantur ukończył łódzką szkołę filmową i pojechał do Islandii kręcić filmy o tym tak mało u nas znanym kraju. Wkrótce o wszystkim zapomniałem.

Niedawno jeden z moich znajomych spytał, czy nie mógłbym pomóc kupić mu poolony.

— Wiesz — powiedział — robi to „Gumówka", a do mnie przyjeżdża wuj i chciałem zrobić mu niespodziankę.

Z dyrektorem Ryszardem Spodenkiewiczem długo rozmawialiśmy o sprawach technicznych, aż poprosiłem o pokazanie mi kolekcji wyrobów. Obejrzałem uważnie najprzeróżniejsze botki i te z gumy, i te z polichlorku winylu i takie, co do złudzenia imitują skórę, a poolonów nie było. Wreszcie spytałem.

— Poolony robicie?

— Tak, zaraz poproszę, aby nam przynieśli.

I kiedy do pokoju wszedł młody człowiek z wysokimi kaloszami zapinanymi na finezyjne klamerki, przypomniałem sobie Trantura Torotsena.

— A więc to są poolony.

— Tak. Jest to obuwie ochronne, na Zachodzie bardzo popularne, a u nas — mimo reklamowych wysiłków — interesują się nim wyłącznie myśliwi.

W taki oto sposób zaczęło się moje zainteresowanie przemysłem gumowym w Łodzi, którego wyniki chciałbym poniżej przedstawić.

☆ ☆ ☆

Kariera „płaczącego drzewa" zaczęła się na przełomie XVIII i XIX wieku, ale praktycznie można było kauczuk — zwany gumą lub gutaperką — wykorzystać dopiero po odkryciu wulkanizacji. Dlatego o przemyśle gumowym można mówić gdzieś od początków drugiej ćwierci XIX stulecia. W Polsce — dużo później, bo od początków XX wieku. Dokładnie w 1908 roku w Wolbromiu powstał oddział „Olkuskiego Towarzystwa Akcyjnego Przemysłu Żelazno-Metalowego — Ideal". Po kilku latach oddział usamodzielnił się i tak powstał „Wolbrom — Fabryka Wyrobów Gumowych, S. A.".

Powstanie państwa polskiego po pierwszej wojnie światowej stworzyło warunki dla dalszego rozwoju tej gałęzi wytwarzania. W 1920 roku powstaje „Kauczuk" w Bydgoszczy, w 1923 — grudziądzkie „Pepege" czyli „Polski Przemysł Gumowy", a w rok później — „Angielsko-Polsko-Szwedzki Przemysł Gumowy — Gentleman" w Łodzi. Słynny ze strajków krakowski „Semperit" i podwarszawski „Piastów" w 1925 roku, a w 2 lata później druga łódzka fabryka przemysłu gumowego — „Towarzystwo Wyrobów Wełnianych i Gumowych F. W. Schweikert Sp. Akc". Następne lata dały polskiej gospodarce poznański „Stomil", warszawski „Rygowar" i „Sanok" w Sanoku. Ot, i całe dzieje.

Pełna nazwa łódzkiego „Gentlemana" brzmi dziś odrobinę humorystycznie, jeśli zważyć, że założycielem firmy był Dawid Schrage — obywatel łotewski. „Anglię" reprezentował jego szwagier, Dawid Atkin, akurat mieszkający w Londynie. Kto reprezentował Szwecję do dziś nie wiadomo, bo drugi prokurent, brat Dawida Schrage, tak jak i on sam mieszkał w Rydze, przy ul. Kandawskiej 41 a. Natomiast doskonale wiadomo, kto reprezentował Polskę — robotnicy i to głównie młode kobiety, które tłumnie ciągnęły z podłódzkich miejscowości w poszukiwaniu pracy.

Nie przypadkiem najpierw fabrykę zlokalizowano przy ul. Konstantynowskiej, a w niespełna 3 lata przeniesiono na ul. Aleksandrowską. W obu przypadkach na szlakach wędrówek za chlebem, a więc bez kłopotu o siłę roboczą. Trafiali tu młodzi bez doświadczenia życiowego i klasowego, łatwi do wyzyskiwania i wykorzystywania.

„Gentleman" produkował przed wojną kalosze, tenisówki, śniegowce, nici gumowe, obcasy, zabawki z gumy, gąbki, płaszcze gumowe, fartuchy, opony rowerowe, a w 1937 roku podjął zakończoną niepowodzeniem próbę produkcji opon samochodowych.

Wyroby gumowe u Schweikerta były uzupełnieniem produkcji włókienniczej, ale i tutaj powstawał dość duży wachlarz wytworów.

A potem przyszła wojna

☆ ☆ ☆

Niemcy zastali obie fabryki w pełnej gotowości produkcyjnej, ale swoją niechlubną działalność zaczęli od „porządkowania spraw kadrowych". Wielu pracowników obu fabryk dość nagle zmieniło miejsce zamieszkania i zawód, a niektórzy ocknęli się za drutami obozów. Kilkakrotnie Niemcy wywozili ludzi na przymusowe roboty, a kiedy zbliżał się front wschodni, do kopania okopów.

Ci, których ominęły te „porządkowe" czynności musieli nieraz po 12 i 16 godzin pracować dla potrzeb licznych frontów. Robili płaszcze, buty gumowe, kamizelki ratownicze, akcesoria do czołgów i samolotów oraz zbiorniki na benzynę. Starali się pracować jak najwolniej i jak najgorzej, ale to nie było takie łatwe.

— W czasie okupacji warunki pracy w obu fabrykach były bardzo ciężkie — mówi Kazimierz Gutkowski — szczególnie przy prasach wulkanizacyjnych na drugiej zmianie. Używano do produkcji surowców wytwarzających silne gazy. O tej porze obowiązywało już zaciemnienie, okien nie można było otwierać, a ludzie nie mieli czym oddychać. Wymyślono więc bardzo prosty sposób, który dawał czas na wytchnienie i zwalniał tempo produkcji. Po prostu unieruchamiano pompę tłoczącą wodę do pras.

Nadszedł rok 1944. Armia wyzwoleńcza stała już nad Wisłą. Fabryki prawie nie pracowały. Wszystkich zabrano do kopania okopów, które i tak na nic się zdały.

— Kiedy ruszyła styczniowa ofensywa — mówi dalej Kazimierz Gutkowski — i wojska radzieckie zbliżały się do Łodzi, Niemcy postanowili wywieźć resztę maszyn. Zaczęli rozmontowywać turbinę parową i kompresor. Polacy uczestniczący w tym dziele niszczenia, jak mogli starali się opóźniać pracę i co mogli ukrywali przed uciekającym okupantem.

Mimo tych wysiłków Niemcom udało się wywieźć wiele maszyn tak, że w styczniu 1945 roku łódzki przemysł gumowy posiadał 20 proc. dawnej mocy. Od pierwszych godzin wolności ruszyło wszystko, co było zdolne do działania. Zaczęto robić opony rowerowe, rękawice, nici gumowe, a później płaszcze i buty dla wojska.

☆ ☆ ☆

Dla gospodarczego rozwoju Łodzi niezwykle charakterystyczny jest proces usamodzielniania się wszystkiego, co nie jest włókiennictwem. Dzisiejszy „Strzelczyk" był tylko kuźnią, która miała „świadczyć usługi" włókienniczym gigantom. Podobnie narodziła się „Wifama", a i wiele innych fabryk metalowych znalazło po wojnie siedziby w dawnych zakładach przemysłu bawełnianego lub wełnianego. Podobną drogę przeszła dzisiejsza „Gumówka". Dopiero w kwietniu 1946 roku nastąpił podział dawnego „Towarzystwa Wyrobów Wełniano-Gumowych F. W. Schweikerta, Sp. Akc." na Fabrykę Wyrobów Gumowych i Fabrykę Wyrobów Wełnianych. Nadal, aż do 1961 roku, istniały w Łodzi dwa odrębne przedsiębiorstwa przemysłu gumowego. Dopiero 9 lat temu nastąpiło formalne połączenie. Powstały Łódzkie Zakłady Obuwia i Wyrobów Gumowych, którym od niedawna dodano nazwę zjednoczenia — „Stomil". Naprawdę jednak pierwszy etap kształtowania się przemysłu gumowego w Łodzi zakończy się z chwilą uruchomienia fabryki na Teofilowie.

Równolegle trwał drugi etap — porządkowanie ilości i jakości wyrobów. Coś, jak zaczątki specjalizacji. Na początku robiono wszystko — buty, gumę sanitarną, nici, wałki do maszyn włókienniczych, podeszwy itd. Z czasem — począwszy od 1950 roku — niektóre wyroby zabierały inne fabryki w kraju. Łódzka „Gumówka" — najpierw jako dwa odrębne przedsiębiorstwa, a później jedno — zaczęła się specjalizować w produkcji artykułów technicznych dla włókiennictwa. No i przede wszystkim buty.

Na Teofilowie stoi „cudo". Sypie się polichlorek winylu do jednej części formy — na spód buta — do drugiej — na jego wierzch. Naciska się guzik i co 22 sekundy but gotowy. Można go dowolnie ubarwić, można nawet nie barwić, trzeba tylko dać kolorową podszewkę, ale tego akurat nie ma.

— Dziewiarstwo nie nadąża — mówi dyrektor ekonomiczny Jan Wilk.

— Na Teofilowie będzie nowoczesność — dodaje dyrektor Ryszard Spodenkiewicz — i to wkrótce. Automatyczne dozowanie, znakomita klimatyzacja, hermetyczne zamknięcia młynów i pras.

Nie mówi tylko, że nie wszystkie maszyny, a część z nich to prototypy, spisują się tak, jak to zapowiedzieli ich twórcy i stąd „poślizgi" w terminowym przekazywaniu fabryki. W końcu jednak nadejdzie taki dzień, kiedy cała załoga przeniesie się na Teofilów, a w starych pomieszczeniach zostanie jakiś warsztat naprawczy, prototypownia i wzorcownia, która będzie robić krótkie serie nowości, wypuszczać je na rynek i badać, z jakim spotykają się powodzeniem.

„Gumówka" wrosła w fabryczny pejzaż Łodzi, stała się jej częścią i choć udział jej w globalnej produkcji miasta nie jest duży, to przecież daje produkcję poszukiwaną, potrzebną nie tylko w kraju, ale i na rynkach zagranicznych. W 1969 roku wyprodukowała 8 mln par obuwia, w tym da 11 milionów, a w przyszłości będzie dawać do 17 milionów par rocznie.

Już niedługo ruszy drugie „cudo" — agregat do produkcji botków z polichlorku winylu i wtedy co 22 sekundy pojawiać się będzie para botków. Nie znaczy to, że zarzuci się produkcję botków z gumy. Przeciwnie, na Teofilowie będzie pracować 9 nowocześnie zorganizowanych i wyposażonych taśm produkcyjnych, na których będzie się wytwarzać botki i inne gumowe obuwie. Innowacja polega na tym, że pracownik nie otrzymuje żadnych wykrawanych z płatu gumy części, a ma pod ręką urządzenia do ich natychmiastowej produkcji.

— To co — zapytał mnie ktoś, gdy mu opowiadałem o nowoczesności „Gumówki" — z gumą koniec? Zastąpią ją tworzywa?

Gumy nie zastąpią sztuczne tworzywa, mogą ją wprawdzie wypierać z tej lub innej dziedziny, ale oba rodzaje tworzyw będą nadal zgodnie koegzystować i to długie lata. Tak, jak to dzieje się już teraz, gdzie w gabinecie dyrektor Mirosławy Wąsowicz stoją w zgodnym szeregu obok siebie buty z gumy i polichlorku winylu. Laik na pierwszy rzut oka nawet ich od siebie nie odróżni. Tylko poolony trzeba przynosić z magazynu.

POLONICA

W BERLINIE O IWASZKIEWICZU

W tygodniku berlińskim „Sonntag" Heinz Olschowsky opublikował recenzję o wydanym przez firmę Aufbau tomie opowiadań Jarosława Iwaszkiewicza „Das Madchen und die Tauben" (Dziewczyna i gołębie). Recenzent porównuje Iwaszkiewicza do Tomasza Manna i pisze m. in.: „Obaj pisarze należą do wybitnych postaci epoki przejściowej, które swój humanizm mogą zachować i utrzymać dzięki temu, że wzięły rozbrat ze swoją klasą i przeszły na nowe pozycje społeczne".

Autor recenzji, Heinz Olschowsky, analizuje po krótce opowiadania w tomie zawarte i kończy swoje wywody w sposób następujący: „Wybór jest cenną pozycją poetyckiej realistycznej prozy europejskiego klasyka".

(jk)

POLONICA

żyser zretuszował również parę miejsc w sztuce, które mnie w wielu innych, poprzednich spektaklach, zawsze raziły. Złagodził mocno przerysowaną scenę wejścia dziewcząt do „kwatery oficerskiej" i ich, Ingi i Luzzi, zbyt głośne i swobodne reakcje w pokoju poza sceną, co zawsze uderzało fałszem psychologicznym. Późniejszy tupet Luzzi jest zrozumiały i nie nastręcza zastrzeżeń, gdyż jest uzasadniony logicznie i psychologicznie — ostrość tych kwestii nie brzmi jak dysonans. Krasowski również dialogi między Ingą i Janem — mocno przelirycznione, irracjonalne w tonacji — tak spreparował, że sceptycyzm i ironia zagłuszyły podkamuflowane tokowania, których poważny walor uczuciowy nie posiada uzasadnienia ani w czasie, ani sytuacji.

Tyle zasługi reżysera. Mimo tych niewątpliwych pozytywów spektakl nie trzyma w napięciu. Nie odczuwa się rytmu ani tempa; coś się rozłazi i niemrawieje. Dobrzy aktorzy jak: Matysik i Pyrkosz nie zmuszają do koncentracji. Anzelm w wykonaniu tego ostatniego nie jest banalny, Pyrkosz celebruje swoją rozbudowaną, znakomitą rolę, ale robi to jakby bez przekonania. Inga jest sztywna i wszystko, co powie, brzmi fałszywie. Hieronim (Andrzej Polkowski) co chwila wpada w przesadę. Igor Przegrodzki (Doktór) jest inny od innych odtwórców tej roli — nie jest jękliwy i zastraszony. Ambitna próba odejścia od stereotypu udaje się mu aktorsko, jednakże swobodna umowność kreacji nie harmonizuje z całością potraktowaną dosłownie, z dbałością o czytelność.

Problem wolności i wyboru wyszedł w odczytaniu Krasowskiego wyjątkowo wyraziście. Szkoda tylko, że spektakl siłą przekazu scenicznego nie poruszył publiczności tą racją. Odnosiło się wrażenie, że zespół po popołudniowym przedstawieniu odczuwał przesyt i zmęczenie.

„Cena" Artura Millera nie należy do jego szczytowych osiągnięć, znać w niej jednak rękę mistrza. Już dla samej roli Gregory Solomona warto tę sztukę obejrzeć. Smakowite dialogi, niezwykle celne spostrzeżenia przekazane w dowcipnej formie, no i pozostałe postacie dramatu precyzyjną psychologią wykreowane — to najistotniejsze zalety utworu. „Cena" ludzkiego życia i poświęcenia w dość problematycznej sprawie, w parabolicznym ujęciu, to utwór niebanalny, ale w porównaniu ze „Śmiercią komiwojażera", „Widokiem z mostu", czy nawet „Po upadku", jest jakby nie dopowiedziany do głębi i nie posiada tej „tragicznej mocy", jaką tamte podbijają widownię. W czystej reżyserii Piotra Paradowskiego i utrzymanej w klimacie scenografii Wojciecha Krakowskiego Teatr Stary z Krakowa zaimponował w „Cenie" jedynie rolą Jerzego Nowaka (Gregory Solomon).

I wreszcie trzeci spektakl Rzeszowskich Spotkań Teatralnych — „Sonata Belzebuba" Stanisława Ignacego Witkiewicza, w wykonaniu miejscowego teatru.

Nie przeceniając wagi spotkań teatralnych, a w tym rzędzie rzeszowskich, które nie ściągają na siebie zbyt dużo uwagi krytyki i prasy, trzeba przyznać, bez komplementowania gospodarzy, że był to najbardziej interesujący pokaz teatralny. Spektakl nie tylko w konfrontacji z tym, co pokazali goście z Wrocławia i Krakowa, ale także w porównaniu z licznymi „Sonatami Belzebuba", które miałem okazję obejrzeć przed przyjazdem do Rzeszowa, mógł się podobać. Na obu płaszczyznach porównań Teatr im. Wandy Siemaszkowej udowodnił, że dzięki solidnej i wytrwałej pracy, nawet przy niewyrównanym zespole (nie jest tak łatwo w miastach typu Rzeszowa ściągnąć do zespołu i utrzymać w nim wybitniejszych aktorów), można uzyskać wysoki poziom artystyczny przedstawienia. „Sonata Belzebuba" w reżyserii Stanisława Bielińskiego (dyrektor i kierownik artystyczny od roku 1966) jest prosta i klarowna w stopniu, na który pozwala przewrotny tekst autora. Wydaje się, że reżyser założył wobec tej sztuki zdrową i celną zasadę: trzymać się tekstu i grać zwyczajnie, a reszta, to znaczy groteskowość, żart i dziwność, same się w dostatecznym stopniu ujawnią.

Takie proste, a takie trudne; bo właśnie cały wysiłek należy skoncentrować na hamowaniu szarżowania, do którego tekst, a także większość wzorów scenicznych prowokują. Równość stylu interpretacji została uzyskana i to jest największe osiągnięcie reżysera. Tempo, płynność i rytm nie pozostawiały również wiele do życzenia, szczególnie drugi akt — w „królestwie" Belzebuba — był świetny. Potęgę belzebubiej pasji i śmieszną rozpacz niemocy z rozmachem zagrał Zdzisław Kozień, posiadający wyjątkowe warunki fizyczne i głosowe do tej roli. Również Urszula Nowacka dała popis, w roli Hildy Fajtcacy, umiejętności aktorskich. Posiadając warunki zewnętrzne i temperament, doskonale się czuła jako demoniczna, a pełna przepastnego i „śmiercionośnego" seksu, diwa. Istvana Szentmichalyi grał udanie Bogdan Kizukiewicz, jak również podobała się Irena Żukowska, jako Babcia Julia. Zabawny był Wacław Rybczyński w roli Theobalda Rio Bamba.

Tak więc teatr w Rzeszowie pokazał się z najlepszej swej strony i należy domniemać, że tych dobrych stron ma więcej, wiadomo bowiem, iż jeden teatr w mieście i województwie ma funkcje dość szerokie, a jego służba społeczna nie zawsze pozwala mu się skoncentrować na zagadnieniach wysokiego poziomu repertuarowego i artystycznego. Niemniej jednak reakcja publiczności rzeszowskiej na spektakle spotkań była żywa, a w przypadku „Sonaty Belzebuba", wykazała znaczne wyrobienie teatralne, co sądzę nie jest przypadkiem, a wynikiem konsekwentnej działalności.

Rzeszów zapisał się w mojej pamięci także wyjątkową gościnnością i szczerym zainteresowaniem władz sprawami sztuki i teatru.

Jeszcze problem uatrakcyjnienia Rzeszowskich Spotkań, ale o tym przy okazji festiwalu w Toruniu, w następnym reportażu. Aby nie powtarzać drugi raz popełnionego błędu, co świadczy o chronicznej głupocie, siadłem w samolot i po 50 minutach wylądowałem w Warszawie. Na szczęście nikt nie próbował uprowadzić samolotu. Polacy z Ameryki, powracający z odwiedzin na Podkarpaciu, zachowywali powagę i godność, a krewniacy odprowadzający ich do statku — pogodny nastrój kibiców sytych, lub pełnych nadziei. Zdaje się, że nikt nie doznał rozczarowania, gdy koła samolotu dotknęły pasa startowego na Okęciu.

JERZY JARMOŁOWSKI

I z LOTU PTAKA, WRÓŻYĆ

Pani Agacie O.

Miele Majka jęzorem, miele jak z gazety, a ja widzę tę brzydką Agatę, której nie znam, widzę pod kopułą, gdzie każda gwiazda ma swoją dziurę, i ta gwóźdź-gwiazda, ta najjaśniejsza polarna nad nią świeci, i ta ptasia droga, złodziejska czy mleczna. Chodzi Agata tą drogą, raz ziemską, raz niebieską i śladów wypatruje, tych co zostawia je chłopak płowowłosy lniany, a znalazłszy te ślady, wycina je z drogi nożem ostrożnie, i ziemię w chustkę zawija. A włosy jej długie, w linowisku żmij płukane i choć zima, to kwiat w nie wpięty, co od zła chroni, bo złe najpierw na kwiat pada, a nie na oczy. Idzie Agata, drzewa przydrożne jej szumią, a idzie w ostęp leśny, tam gdzie nikt jej spotkać ani dojrzeć nie zdoła, idzie w to jedyne miejsce, gdzie tylko w tym czasie spotkać ją może siwa łapa mrozu. Obnaża tam swoją pierś prawą i szepcze — przyjdź łapo, łapo kosmata, a dotknij, dotknij mojej gołej piersi. I ścina mróz skórę jej obnażoną, ścina rzeki, drzewa, więc wraca Agata tą drogą, raz ziemską raz niebieską, i szczypie ją dotyk mrozu bogaty, zamążpójście wróżący. A widzi jej się chłopak lniany, co ślady na drodze zostawia, i ma się już jej na wiosnę.

Teraz wstaje Agata przed świtem, biegnie boso na poddasze, żeby ujrzeć wschodzące słońce. Wpatruje się w horyzont, wzrok natęża, aż oczy jej łzami zachodzą. A dzieciska wynoszą na podwórze garniec miodu, siadają dokoła i czekają, aż zza horyzontu wyłania się powoli olbrzymia kula świetlista. I z tego patrzenia, mieni się w oczach i zaczyna wolniutko nad polami się poruszać, jakby na sznurku wisiała, na gwóźdź-gwieździe, jakby kto ledwie trącił wahadło niebieskiego zegara. A ono coraz jaśniejsze, aż sznurek pali się, zrywa, i ten bochen jasny zaczyna podskakiwać. Raz dwa trzy, raz dwa trzy. I w którą stronę podskoczy, w tę dzieciska z garncem biegną i wołają — chodź słońce do garnca, chodź do miodu. A ono ich za nos wodzi, raz w tę, raz w tamtą skacze, igra, kłania im się, tańczy, raduje się o wschodzie, aż dzieciska zmęczone na ziemię padają. Wtedy ta kula świetlista podskakuje raz wysoko aż do nieba, spada i turla się szybko po ziemi do otwartego garnca miodu, a dzieciska natychmiast go zakrywają i niosą do chaty na dni pochmurne. Zbiega Agata z poddasza, obejmuje strzelistą topolę, tuli się do niej i płacze, bo widziała słońce tańczące, a kto je choć raz w życiu widział, a kto je choć raz w życiu widział.., i mówi sobie cichutko — no nie płacz Agatko, nie płacz, bo każda łza to kropla takiego słońca.

Więc leży Agata na zaoranym polu naga, i tuli w ramionach tę płową głowę, ten motek lnu serdeczny, a obok chusta ze śladami, co je z drogi zbierała. A łapa od tej głowy nie kosmata, a sucha, smukłopalca, złodziejska, na jej prawej piersi. A na polnym kamieniu siedzi jaszczurka i pije słońce, ale Agata wpatruje się w jej ślepia, i jaszczurka umyka, a słońca przybywa. Ona przeciąga się, wyprostowuje ramiona, przewraca się na bok powoli, i coraz szybciej turla się całym ciałem po polu i użycza swego ciężaru ziemi, aby w tej czarnej urodzajnej, jako i w niej się poczęło. A jest pierwsza niedziela po nowiu, wznoszą się wzwyż soki w drzewach, w trawach, a więc w niej i w ziemi rośnie.

I zawsze o świcie Agata przychodzi na to miejsce, i kłania się słońcu na trzy strony świata, byle nie na północną. A wcześniej idzie tą drogą nie ziemską nie niebieską, i bochen chleba nocą wypieczony, gorący, w chustce szczelnie opatulony niesie. Przed przydrożnym drzewem, przed frasobliwym z niego wystruganym, bochen rozłamuje, a z niego na całe pole pachnie, i paruje jak żadne kadzidło. A kromkę z tego bochna, w miejscu słonecznym na które co dzień przychodzi, dzieli na trzy części — ziemi, ptakom, i ludziom. A w takiej chwili i w tym miejscu, jedyni ludzie na ziemi, to ona i to owo coś, co w niej pulsuje u podbrzusza.

Chodzi Agata w męskim odzieniu choć nie wygodnym, na nią za ciasnym, szczelnie przyległym, aby owo zło co po gołym błocie łazi, co w powietrzu lata i w niektórym zielu siedzi, co tylko czyha na to w niej ledwie poczęte, aby owo zło, co jak już gdzieś wleźć musi, pierwej w to odzienie wlazło i w nim sobie siedziało, bo to odzienie nie jej, a ze stracha na wróble zdjęte, aby owo zło, w tym strachu sobie siedziało. I wystrzega się Agata wiatrów, i patrzenia przez dziurkę od klucza, aby to co w niej oczami w różne strony nie strzelało, aby jej wiatry tych oczu nie zabrały. A przez pękniętą obręcz przechodzi pewnie i śmiało, bo to poród łagodny zwiastuje.

Ale uśmiech jej już niedziewczęcy, już troska w niej mieszka i zapobiegliwość. Więc szyje Agata, drzwi zawarłszy, szyje kawałki płótna, a przed nią na stole stoi ulepiona z chleba dziecinna figurka. I wiesza nocą Agata to płótno na płocie, pod kopułą gdzie każda gwiazda ma swoją dziurę, na światło tych gwiazd płótno wystawia, aby w owym płótnie jako i w nich świetlistość zamieszkała, aby w tej świetlistości leżał jej pierworodny i krzyczał, krzyczał głośno, aż od krzyku by gwiazdy mrugały i ślepia zwierząt.

I przychodzi dzień, gdy napełnia się dom Agaty parą od gotującej się wody i miękkością poduch. A wśród tych chmur z pary i pierza, brzuch Agaty też wielki, krągły, biały obłok słońca przesłaniający, co ciekawie przez okno zagląda. A nad tym obłokiem pochyla się druga kula, miesiąc blady przypominająca, ta twarz starej kobiety, o skórze wysuszonej i napiętej, że zda się szeleścić odbijając słońce i ta twarz-miesiąc za ten obłok zachodzi. Ale Agata wie, że na pewno wzejdzie zza niego krzyk, co w niej wzbiera za zaciśniętymi zębami, ten co go tędy nie przepuści. I już jej się widzi i słyszy, jak ta twarz-miesiąc wychodzi przed chatę i woła głośno — całemu światu do wiadomości a małemu na zdrowie, wilczyca porodziła wilka. I już jej się widzi i słyszy, kiedy się w to pierze zapada i leci głową w dół, a ono sypie się czerwone z jej pogryzionych warg.

A budzi się Agata na dużej sali, gdzie wśród wielu łóżek krzątają się aniołowie w bieli, i całe stadko małych, krzyczących, do tych łóżek znoszą, i świergot taki w tej sali, że ptaki do okien się zlatują. A pośrodku tych aniołów, Pan Bóg siwy w okularach, to jedno, to drugie pisklę ogląda, i raduje się. I podchodzi do Agaty ten Pan Bóg uśmiechnięty, pochyla się nad nią, uśmiechać się nie przestaje i mówi — za wcześnie Agatko, za wcześnie, tak bywa.

Wraca Agata z miasta, tą drogą ziemską czy niebieską, ptasią czy złodziejską, niesie delikatnie w chuście zawinięte, do piersi przytulone to co było w niej, a co jej ludzie czy nieludzie wzięli. Rozpala Agata w piecu, trze drewno o drewno, aż iskrę wskrzesze, szczap dołoży, aż ogień je liźnie. I leje do miski podgrzaną wodę, leje przez podkowę z progu, a rzuca na te wodę garść ziarna i garść pieniędzy, jakby to co było w niej dalej żyło, i kąpie porońca w tej wodzie srebrnej i złocistej. A na stole leżą kawałki płótna, od gwiazd świetliste, i owa figurka ulepiona z chleba. Zawija Agata porońca w tę świetlistość, tylko taka cisza z niego bije, że cykanie zegara czy świerszcza słychać. I leży w kołysce to co było w niej, a nie jest, i stoi przy nim miseczka z dziegciem, obok grzebień żelazny, ziarnko czosnku, i pali się ogień. A Agata czarna, bolesna wychodzi przed próg, podnosi ręce do nieba i czeka, aż ta kopuła pęknie, czeka na piorun, nie na widok jego, a głos. Ale niebo spokojne, wygwieżdżone, tylko miesiąca ubywa. Więc siada Agata przy piecu, przez całą noc podtrzymuje ogień, gwiazdy nie próbują do niej gadać, bo twarz jej taka, że bledną. A poroniec leży sobie w kołysce cichutko, już nie ludzik, czy jeszcze nie ludzik w świetlistość opatulony.

Przed świtem Agata bolesna, czerwona, i płótno porońca czerwone, i on sam, i ta figurka ulepiona z chleba. Więc przebija Agata figurkę ostrym kołkiem osikowym, i wchodzi w świt z podniesioną głową. A idzie pod mur cmentarny, pod dwie brzozy, i chowa tam w ziemi pośród psów swego porońca, co się w niej nie uchował, choć z ziemi zboża pełne wyrosły, i szepcze — daję ci to ziemio, abyś nie tylko pełna ale i bolesna była, jako i ja jestem, a płody twoje karłowate. Z nieba spada ostatnia gwiazda, Agata żegna tę spadającą gwiazdę znakiem krzyża, nadaje jej imię swego niechrzczeńca, nadaje jej imię wilka. Wstaje słońce.

Wschody słońca teraz podobne. Widzi się ludziom z daleka wielka wrona czarna, pod murem cmentarnym przysiadła, kulę czerwoną dziobiąca. A Agacie przy mogile siedzącej, widzi się raz topielica, kiedy indziej dziewka przez wilki zagryziona. A jak jej się widzi topielica, to w sukni najlepszej i wianku świętojańskim, z mostu skacząca. A pod wodą widzi jej się tatarak, ryby i kijanki, i żaby z kijanek, i nenufary. A na moście widzi jej się wieś cała, i ten chłopak płowowłosy, jak rękę swoją nie kosmatą a złodziejską, smukłopalcą do stawu wkłada, i Agatę już półrybę trzepoczącą, wodzie kradnie. A jak jej się widzi wisielec, to na leśnej polanie, na wrzosowisku, na samotnym drzewie, ale tylko na chwilę, bo jak pętla się chce zacisnąć, to w gałąź piorun wali, i Agata na miękkim kwieciu leży. Jednak najdłużej to jej się widzi topielica, i trwa to zawsze tak długo, że dziewka przez wilki zagryziona, nie zdąży jej się dowidzieć, tylko się pomyśli. Ale nie zawsze. Czasami widzi się Agata po śmierci nagłej od pioruna, a wtedy ona wielka, czarna, z włosem rozpuszczonym nad polami lata, zboża kładzie, domy wywraca, rzeki wylewa i stogi zapala. A w tych stogach płoną wszystkie płowe łby, a najbardziej jeden.

I przychodzi pierwsze Boże Narodzenie, i chodzą chłopcy z gwiazdą, ale dom Agaty omijają, tylko z drogi niosą się kolędy. A Agata ubiera drzewko w cacka, stawia pod nim wieczerzę i czeka długo w noc. A jak już słychać dzwon na pasterkę zwołujący, to podłogę wyszorowaną do białości popiołem posypuje, i idzie między świece, między kadzidło, między ludzi. A gromada ludzka odświętna, radosna, śpiewa o dniu wesołym, śpiewa i nie widzi, że ta Matka Boska, której dzięki czyni, ta Matka Boska gipsowa, nie uśmiechnięta, nie łagodna, a w czerwone pierze zapadająca, ta Matka Boska od porońców. I że w tym kościelnym żłobie, siankiem wyłożonym nie Jezusik leży, a owa figurka ulepiona z chleba, czerwona, kołkiem osikowym przebita. I są święci i królowie, i zwierzęta, i świat cały, i ksiądz, ale syna boskiego nie ma, tylko matka jego gipsowa, bolesna. I kłopocze się Agata w drodze do domu, nad światem takim. A w domu na podłodze popiołem zasypanej, widzi Agata ślady maleńkich łap psich czy wilczych, dokładnie odciśnięte, i stawia obok nich swoje wielkie stopy, idzie obok nich, obok porońca, jakby go za rękę po drodze wiodła. Idzie tak do miękkości poduch, i w sen zapada. Taka jest ta Agata i sprawy jej takie, a Majka miele jęzorem.

— Przecież ty wcale nie słuchasz. Spałeś! Cały jesteś zasypany, wiatr piachu nawiał i wyglądasz jak wykopalisko sprzed kilkuset lat.

— Ano, zgadłaś Majka, zgadłaś — za Agatą chodziłem, a ona jest od kilkuset lat.

— Ona jest i ty jesteś.... wariat. Pójdziemy do niej jutro, jak będzie padał deszcz. Przecież jej nie znasz, nie wiesz o niej nawet tego, co mówiłam, bo nie słuchałeś. Wychowywała się u jakichś ludzi na wsi, na zapiecku, trafił się pierwszy chłopak, trafiło się...

— Mielesz Majka, mielesz z gazety, z kroniki wypadków. Obraziła się. Wkładamy ubrania, strzepujemy piach z koca i idziemy zostawiając ślady na wydmach, które zaraz zasypie wiatr. Schodzimy wąską uliczką, i już między murami Majka szturcha mnie w ramię.

— Patrz, wiariacho, to za nią chodziłeś. Nie poznajesz? Ukłoń się, przecież znasz.

Pośrodku ulicy stoją chłopak z dziewczyną, przekomarzają się.

— Agata, Agata, język jak łopata, na łopacie Agata na Łysicę lata. Łeeee... ee...

Wywalił na Agatę jęzor wielki, czerwony. Agata śmieje się.

— To twoja łopata, mój jest inny.

— Pokaż.

Agata wysuwa koniuszek, maleńki, zaróżowiony, koci języczek. Mruży oczy.

— E..., taki sam.

— Bujasz. Sprawdzimy.

Oglądają w okrągłym lusterku, w słońcu, swoje języki. Głowa przy głowie, przepychają się, bodą. Język Agaty wydłuża się, wyostrza, zajączkiem z lusterka po krzewach jaśminu, zaróżowia, zaognia. Zachodzi słońce. A język Agaty po suszonym zielu, po sercu gołębia, po sznurze wisielca, po kołku osiki. Płoną krzewy, tańczą po mieście strzygi, wychodzą z morza topielice, hasają wilkołaki, latawce. Zachodzi słońce, maleńki koci języczek.

—A widzisz, twoja łopata. Mój jest inny.

Śmieją się i zbiegają uliczką w dół, w kierunku morza. Przelatują ptaki. Zadzieram głowę. Wróżę ci, Agato, z ich lotu, wróżę ci dni dobre, a wiatr od morza niesie twoją wieczorną z rybami rozmowę.

ZYGMUNT MARCZEWSKI

Jubilatce

w baśń pójdę złożoną z iskier pszenicznych
w dzwon rzyskiem otulonych pól

w kraj złotych nici w rękach odciśniętych
w bruzdy w przędzę siwą w ból

W dom wstąpię przestrzenny i prosty
i wiem że uśmiechem pobieli się mur

dam rękę i otrzymam z gospodarkich włości
ziarnem jędrnych krasych dwadzieścia pięć cór

Ojczyzna moja w pszczele roje tkana
zarabia chleb w dzieży wiślanej

to moja matka latami sterana
sercem podchodząca łzami kołysana

Sierpień 1969 r.

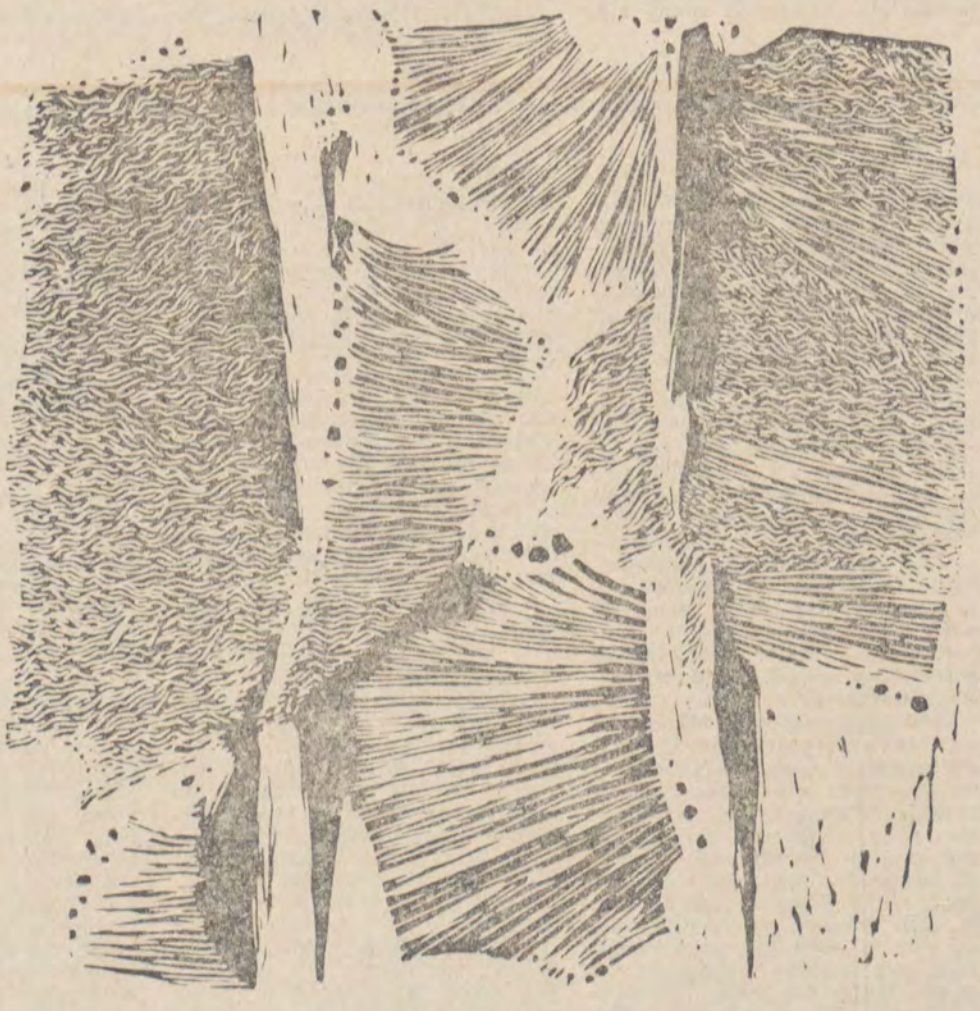

Dedal i Ikar — *Jerzy Cichecki*

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

Wspomnienia szeregowca

Nazwisko Karola Obidniaka nie jest łodzianom obce. W ostatnich latach napisał on kilka utworów scenicznych, a niektóre z nich gra ne były z powodzeniem w teatrach łódzkich. Niedawno Obidniak — absolwent Państwowej Wyższej Szkoły Aktorskiej w Krakowie i dramaturg — zadebiutował w szrankach literackich książką pod obiecującym tytułem: „Jak zostać generałem?".*) Nie znajdziemy w niej wprawdzie niezawodnej odpowiedzi (czy recepty) na postawione w tytule — raczej dla żartu — pytanie, znajdziemy natomiast sporo innych rzeczy, za sługujących na żywe zainteresowanie.

Książka Obidniaka ma charakter wspomnieniowy i związana jest z okresem drugiej wojny światowej. Takich publikacji bynajmniej nam nie brak, a trzydziesta rocznica wybuchu tej wojny i minione dopiero dwudziestopięciolecie od chwili jej zakończenia, wzmogły znacznie ruch wydawniczy w zakresie retrospekcji wojennej. Ale „wspomnienia szeregowca", które wyszły spod pióra Karola Obidniaka, z dwóch względów wydają mi się czymś bardzo wyjątkowym. Po pierwsze — ich autor rozpoczynał swą wojenną epopeję mając zaledwie 16 lat, gdy pewnego wrześniowego dnia 1939 roku wyszedł w harcerskim mundurku, uzbrojony w... plecak, z rodzinnego Krosna, aby bronić ojczyzny i zdobywać laury wojskowe. Po drugie — w książce Obidniaka, poza jednym mało znaczącym epizodem — nie ma wcale relacji batalistycznych, jest ona natomiast wypełniona niemal całkowicie opisami prób ucieczki z niemieckiego obozu jeńców, do którego autor trafił w 1940 r., w czasie najazdu Niemców na Francję. Takich prób było w latach następnych pięć czy sześć, aż wreszcie ostatnia, „urozmaicona" 48-godzinną podróżą pod... wagonem kolejowym (!) przyniosła autorowi wspomnień upragnioną, ale niestety, krótkotrwałą wolność na terenie Francji nie okupowanej. Gdy jednak Niemcy, ze względów strategicznych i politycznych, poczęli zajmować i Francję południową, trzeba było znowu brać nogi za pas i przez Pireneje uciekać do Hiszpanii, aby tu — po odbyciu „stażu" w więzieniach i jakimś straszliwym obozie dla internowanych — wydostać się wreszcie — dzięki różnym sprzyjającym okolicznościom — na swobodę, już naprawdę. A później była podróż przez Gibraltar do Anglii, nauka w szkole lotniczej i różne inne sprawy, o których pisze Obidniak w ostatnim rozdziale swej książki.

Nie mam tu żadnych możliwości obszerniejszego streszczania ucieczkowych perypetii Obidniaka, które brzmią niekiedy jak fragmenty bardzo ciekawej powieści przygodowej. Ale muszę wyrazić podziw i uznanie dla odwagi, wytrwałości i przedsiębiorczości tego młodziutkiego chłopca, który przez parę lat „zjeździł" więcej niż pół Europy, zanim zdołał ujść ostatecznie hitlerowskim łapaczom. Ale istniał jeszcze jeden — i to nie błahy — czynnik, który pchał tego chłopca na drogę ryzykownych i — zdawałoby się — beznadziejnych przedsięwzięć. Oto, co pisze o tym całkiem szczerze Obidniak, unikając w ogóle pompatycznych gestów i tzw. bohaterszczyzny. Oto jego wyznanie: „Nie znałem wówczas rozmiarów zbrodni, które Niemcy popełnili i które jeszcze popełnić mieli. Nie wiedziałem, jak zachowują się w podbitych krajach. Ta nieświadomość była moją siłą. Dzięki niej zachowywałem beztroskę, tak potrzebną w obcowaniu z ludźmi w sytuacjach szczególnie trudnych, kłopotliwych"... A więc i niewiedza może być czasem pożyteczna — jako podpora czy przesłanka... odwagi.

Szczerość, samokrytycyzm, trochę autoironii cechują książkę Obidniaka i stanowią jej zasadniczą zaletę. Od strony formy przyklasnąć należy żywości i obrazowości stylu, dzięki czemu są we wspomnieniach Obidniaka sceny tak sugestywne i dynamiczne, jak np. „nieporozumienie" w wiedeńskiej winiarni, inne „nieporozumienie" przy podziale księżowskich owocowych darów w hiszpańskim areszcie, osobliwy „występ" angielskiego oficera na pokładzie płynącego do Kanady statku — i in. Natomiast takie epizody, jak np. bardzo dziwna „zemsta" wiezionych transportem kolejowym jeńców w odpowiedzi na wymyślania i szyderstwa publiczności niemieckiej na jakiejś stacji, takie epizody, powtarzam, mogłyby być z książki usunięte bez żadnego dla niej uszczerbku. Co się tyczy kompozycji „wspomnień szeregowca" powiedzieć by należało, że jest ona trochę nierówna w tym sensie, iż niektóre fragmenty wspomnień opisane są może nawet zbyt szczegółowo, podczas gdy inne, nieraz ważkie w treści i w wymiarze czasu rozległe, pokwitował autor kilkoma słowy. Jest to uwaga raczej marginesowa, nie mogąca podważyć istotnych i niemałych wartości książki Karola Obidniaka, budzącej zasłużoną dla autora sympatię.

*) Karol Obidniak: „Jak zostać generałem?" „Wydawnictwo Łódzkie", str. 212, cena zł 17.

Fot. R. Jaworski

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

Poeta–republiki obywatel

Tradycje postawy obywatelskiej w naszej poezji sięgają czasów odrodzenia. Poezja tego typu niosła ze sobą pokaźny ładunek emocjonalny w sferze zaangażowania społeczno-politycznego, u którego podstaw leżała etyka. Ciągłość tej tradycji była częstokroć naruszana przez tendencje indywidualistyczne o zabarwieniu romantycznym lub zgoła aintelektualnym. Sam fakt zajęcia takiej, a nie innej postawy wynika z konkretnych uwarunkowań społecznych, obyczajowych i politycznych, będąc jednocześnie przejawem pewnego ruchu intelektualnego o cechach racjonalnego nonkonformizmu. Poezja obywatelska nie była i nie jest poezją destrukcyjną, wprost przeciwnie, stanowi ona antidotum na regresy kulturalne, etyczne, polityczne społeczeństwa. Chodzi jej przede wszystkim o zachowanie humanistycznej godności człowieka.

W nurcie jej należy umieścić twórczość młodego łódzkiego poety, Andrzeja Biskupskiego, który dał się poznać na łamach prasy literackiej również jako krytyk i teoretyk. Biskupski przeszedł w ciągu ostatnich czterech lat nadzwyczaj znamienną ewolucję poetycką— od etiud, wprawek formalnych w debiutanckim tomiku „Każde wnętrze moje", noszących wyraźne piętno poezji Norwida i Przybosia aż do utworów moralistycznych, odmetaforyzowanych, będących wynikiem własnych, niejednokrotnie oryginalnych przemyśleń, czego potwierdzeniem jest wydany ostatnio tom wierszy „Mój głos zewnętrzny" *).

Jest to książka ze wszech miar interesująca pomimo wielu niedociągnięć, jeśli chodzi o dojrzałość wypowiedzi lirycznej. Nie najlepiej wypada cykl „Stamtąd", w którym łatwo dostrzec pośledniej rangi kontynuację Awangardy Krakowskiej, uwidaczniającą się także w niektórych wierszach z innych cyklów. Są to na ogół utwory autotematyczne, których treść sprowadza się do zmagania poety z językiem i do propozycji metajęzyka. Barierę eksperymentów słownych przekracza Biskupski w cyklach: „Codzienność", „Zapis bez uogólnienia", a zwłaszcza we „Wspólnocie". Wszystkie zabiegi stylistyczno-językowe okazują się jedynie maską, której zdjęcie następuje w zasadniczej części tomu. Czyżby ekshibicjonizm? Niewątpliwie tak, ale nie on jest ostatnim zdaniem poety, lecz odnajduje płaszczyznę, na której wieść należy dyskurs. Równocześnie z obnażaniem następuje kreacja, kreacja trwałych, przez wieki ustalonych wartości moralnych. Przywołuje więc powiedzenie Szekspira, że „świat jest teatrem, aktorami — ludzie" i nie podważa go; nawet widz, słuchacz (ten w metaforycznym rozumieniu) musi być aktorem. Granice między sceną a widownią się zacierają. Człowiek oprócz tego, że odpowiada sam za siebie, to przyjmować musi na własne konto winy innych. Ten egzystencjalny dramat („Głos pojedynczego człowieka") osaczony jest jedną rzeczywistością, rzeczywistością ludzi i słów.

Wynika następny konflikt: czyn człowieka (możliwie samodzielny) i jego sens społeczny. W tym momencie odzywają się pewne echa romantycznego buntu, walczyć uparcie, choć „gest pojedynczego człowieka może być źle zrozumiany..." Przerażony nieustannie postępującym do przodu procesem uniformizowania społeczeństwa Biskupski czuje się w takiej sytuacji zagrożony; jego byt, osobowość i jej chociażby zewnętrzna autonomia zyją pd ciągłym naporem zautomatyzowanego tłumu, który, jak by siłą odśrodkową, wdziera się na tereny, gdzie dotychczas było jeszcze miejsce na zachowanie własnego „ja". Ta przestrzeń psychiczna zajmowana jest przez rzeczy, przedmioty, dochodzi do fatalnego niebezpieczeństwa — kompletnej reifikacji ducha. I cóż wtedy ma począć poeta, którego dotychczasowe wysiłki („Mój głos zewnętrzny") okazały się tylko złudzeniem? Po prostu nie należy się poddawać, tylko trzeba zmienić rolę i nie marzyć o tym, by dysponować demiurgiczną siłą w społeczeństwie, a jedynie pełnić funkcję poety — intelektualisty, który nie tyle zmienia, co właściwie rozumie obecną rzeczywistość, i wie, ku czemu zdążają przemiany psychiczne nie tyle naszego narodu, ile dwudziestowiecznej cywilizacji. Poeta prowadzi nieustanny dialog z wartościami wytworzonymi przez tradycję kultury ogólnoludzkiej, lecz nie zarzuca płaszcza historii na współczesność. Raczej odwrotnie — teraźniejszość stawia w obliczu historii, by w ten sposób znaleźć dla niej jakieś sensowne miejsce ocalenia.

„Czuj! Stary pies szczeka" — mówił kiedyś o sobie Wacław Potocki. Na widownię i zarazem scenę wszedł Biskupski, który innym nie bije oklasków, sam jest aktorem, ale tym, który nieco uśpionym spokojną na pozór stabilizacją materialną (ale nie psychiczną) otwiera oczy i daje lekcję współczesności. Czcigodny Platon proponował takich ludzi wypędzić z republiki („Już między ludem idzie wieść..."), bo zakłócają porządek publiczny. Dzisiaj gdyby to powiedział, zapewne by się mylił, bo poeta — to wszakże republiki obywatel...

*) Andrzej Biskupski „Mój głos zewnętrzny" Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1970, s. 79.

O sprawach dużych i małych

Przeszłość i teraźniejszość

W potocznym myśleniu historycznym wielu Polaków zapadła gdzieś głęboko niezawsze uświadamiana pretensja kierowana pod adresem obcych krajów, że w trudnych dla nas dziejowych sytuacjach nie pośpieszyły z pomocą, do czego były zobowiązane moralnie a częstokroć i prawnie, że myślały o własnych interesach wtedy, kiedy my wystawieni byliśmy na ciężkie próby. Pretensje te stanowią odwrotność tych nadziei, jakie wiele pokoleń Polaków żywiło w najcięższych chwilach dziejowych, nadziei na poparcie i pomoc zewnętrzną, takie, które pozwoliłyby nam zrealizować nasze jak najbardziej żywotne cele i marzenia. Przypomnijmy sobie te pretensje i nadzieje, jakie ujawniły się u schyłku XVIII wieku w latach walki o ocalenie Rzeczypospolitej. Ileż to gorzkich słów padło pod adresem Napoleona za to, że nie myślał realizować naszych politycznych marzeń i posługiwał się Polakami li tylko jako narzędziem do własnych celów? Ileż żalu mieli Polacy w ubiegłym stuleciu w związku ze stanowiskiem mocarstw europejskich wobec naszych powstań narodowych? Ileż to gorzkich słów wypowiedziano na temat stanowiska Francji i Anglii w 1939 roku, ileż pretensji mieliśmy do naszych sojuszników dlatego, że nie przyszli nam z pomocą w interesach, o których my wiedzieliśmy już dobrze, że nie są tylko naszymi, ale przecież i ich własnymi także?

Nigdy nie dość myślenia o tych sprawach. Nigdy nie dość w naszym piśmiennictwie trzeźwych książek, uświadamiających nam samym, że w świecie wielkiej polityki mniej ważą wielkie nawet sentymenty, że większy ciężar mają realne interesy zainteresowanych stron. Dlatego z żywym zainteresowaniem sięgnąłem do książki Jana Przewłockiego „Międzysojusznicza Komisja Rządząca i Plebiscytowa na Górnym Śląsku w latach 1920 — 1922", wydanej przez Ossolineum (1970) nakładem Śląskiego Instytutu Naukowego w Katowicach.

W oparciu o wnikliwe badania udało się w niej autorowi zrekonstruować dzieje powołanej przez decyzję konferencji pokojowej 1919 roku Międzysojuszniczej Komisji Rządzącej i Plebiscytowej, która sprawowała rządy na obszarze Górnego Śląska w okresie od lutego 1920 do czerwca 1922 roku. W skład komisji wchodzili przedstawiciele Francji, Wielkiej Brytanii i Włoch, przy czym reprezentanci dwóch pierwszych krajów mieli tu więcej do powiedzenia. Zainteresowanie wielkich mocarstw sprawą górnośląską nie wynikało z żadnych sentymentów czy antypatii do stron, ale z realnych interesów politycznych i ekonomicznych. O ile Wielka Brytania dążąc do zachowania równowagi sił w Europie, przeciwna zbytniemu umocnieniu się zarówno Francji jak i Polski, parła do pozostawienia Górnego Śląska w rękach niemieckich, Francja popierała stanowisko polskie, nie tylko dla zyskania sobie wschodniego sojusznika, lecz przede wszystkim w celu osłabienia swego najgroźniejszego kontynentalnego konkurenta.

Przewodniczący komisji francuski generał Henri Le Rond skutecznie realizował linię polityczną swego rządu, która w danym przypadku w pełni pokrywała się z interesami państwa polskiego. Ale nawet gdy istniała tak silna zbieżność interesów politycznych obu państw, nie obyło się — bo obyć się nie mogło — bez zainteresowań gospodarczych. Autor nie zgadza się z poglądami niektórych historyków, którzy uważali iż w tej sytuacji ustępstwa gospodarcze strony polskiej były całkowicie zbyteczne. Przeciwnie, dowodzi on, że aczkolwiek kosztowały sporo, były przydatne. „Dla kapitalistów paryskich — powiada J. Przewłocki — wywierających duży wpływ na politykę zagraniczną swego kraju, argument racji strategicznych i ogólnych koncepcji politycznych nabierał o wiele większej wymowy, gdy jego realizacja mogła przynieść konkretne korzyści materialne. Stąd też konieczność licznych ustępstw gospodarczych na Górnym Śląsku na rzecz Francuzów, w rodzaju utworzenia wspólnego banku na tym terenie, czy mieszanej spółki do eksploatacji kopalń skarbowych, nazwanej „Skarboferm".

Może to i przykre, dla kogoś, że nie jesteśmy pępkiem świata i że nasze racje, jeżeli mają zwyciężyć, muszą się wiązać z racjami innych. Na pewno nie było zamierzeniem autora monografii o szczegółowym przecież problemie dziejów Europy w wieku dwudziestym podejmować dyskusji z tymi marzeniami i nadziejami, o których mówiłem na wstępie. A jednak — jak wielu rzetelnych badaczy — włączył się on do niej mimowoli, wykazując na konkretnym przykładzie, że największą sztuką polityki jest umiejętność wykorzystywania rzeczywistych interesów stron, że mniej niżby się zdawało ważą w niej sympatie czy antypatie, jeśli nie godzą się z tymi realniejszymi racjami.

JÓZEF GRZELAK

KAROL BADZIAK

Młody człowiek w klubie

Od wielu lat przyrzekam sobie, że nie będę już więcej pisał o młodzieży. Od wielu lat zdaję sobie również sprawę, że jest to jednak niemożliwe. Od młodzieży się u nas nie ucieknie. I nie warto. Przekonałem się o tym niedawno w Łowiczu podczas spotkania z tamtejszym aktywem kulturalnym ZMS. Wyłoniła się w tym mieście nieoczekiwanie zupełnie sympatyczna grupa młodych zapaleńców. Całego świata nie chcą podbić, lecz nie są wcale od tego, żeby Łowicz zawojować. Czas już najwyższy ku temu. To najpiękniejsze miasto naszego województwa senne jest od pewnego czasu. Nawet „Dni Łowicza" nie potrafią Łowicza ożywić.

Do ubiegłego roku cała młodzież tego miasta włóczyła się znudzona po cichych uliczkach. Kiedy w trakcie wakacji przyjechały tutaj z Łodzi studentki na praktyki robotnicze i zorganizowały wieczorek taneczny, hyr taki poszedł po mieście, że już nie setki, lecz tysiące młodocianych zbiegło się pod Dom Kultury Kolejarza. Od tego ścisku pękały szwy, szyby i żebra. Długo potem wspominano „o chuligańskich wybrykach". Dostało się tutejszej młodzieży od dorosłych. Wiadomo, że przy takich okazjach dorośli sobie przypominają o organizacjach młodzieżowych. Co robi ZMS? — zapytywano. Ano, faktycznie robił niewiele.

Tak się jakoś złożyło, że dokonano akurat wtedy zmian na powiatowym szczeblu tej organizacji. Okazały się one zupełnie słuszne. Przewodniczącym Zarządu Powiatowego ZMS został Jerzy Sobierajski. Młody ten człowiek różni się od pewnych działaczy po prostu tym, że naprawdę wie, czego chce i ma w dodatku charakter oraz sporo życiowego doświadczenia. Nie krzyczy głośno, mówi mało, ale dobrze. Zna swoje miasto, zna młodzież i zna się na ludziach. Skupił wokół siebie grupę młodych dziewcząt i chłopców, których nigdzie nie brak, a w Łowiczu tym bardziej. ZMS w Łowiczu postawił na kulturę i sport. Od czegoś przecież trzeba zacząć. Powstały 2 kluby: „Semaforek" i „Folklorek". Zaczęły one przyciągać młodzież z marginesu nie tyle społecznego ile lokalnego. Łowicz, choć mały, posiada również swoje przedmieścia i peryferie, gdzie młodzież zawsze jest nieco bardziej dzika i niesforna niż w śródmieściu. Narodziny tych klubów nie obyły się oczywiście bez oporów. ZMS nie posiada swych lokali. „Semaforek" zaczął działać przy Domu Kultury Kolejarza, w budynku pięknym i wspaniałym, lecz w gruncie rzeczy przez cały rok pustym i głuchym. „Folklorek" ulokował się w świetnie wyposażonym kompleksie kulturalnym Łowickiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Powiatowy Dom Kultury obronił się przed inwazją młodzieży. Prawdę mówiąc nie jest to najlepiej przystosowany budynek do działalności kulturalnej, co na pierwszy rzut oka wydaje się paradoksem, lecz nic na to się nie poradzi. Na szczęście Łowicz należy do tych nielicznych miast, gdzie nie brak lokali nadających się do prowadzenia działalności kulturalno-oświatowej nie można narzekać. Rzecz polega na tym, że te lokale są zbyt świetne i zbyt drogo urządzone (mam na myśli DDK i ŁSM) i ich właściciele dotychczas niechętnie tam młodzież widzieli. Zjawisko jest zresztą szersze. W wielu pięknie wyposażonych ośrodkach kulturalnych panuje głucha pustka, gdyż są tak reprezentacyjne, że służą tylko na pokaz.

ZMS w Łowiczu zajął się przede wszystkim tzw. młodzieżą niczyją, która bardziej chuliganiła z nudów, niż z właściwości charakteru. Jeśli w ubiegłym roku młodzi ludzie dokonywali w mieście około 80 wykroczeń w ciągu jednego kwartału, to w tym roku liczba ta zmniejszyła się o połowę. Oczywiście jest to tylko jeden z bardziej wymiernych elementów pracy kulturalno-wychowawczej tej organizacji. Działalność ideowo-wychowawcza z samej swej istoty jest raczej mało uchwytna, przynajmniej w cyfrach, czy innych jednostkach miary.

Kluby ZMS w Łowiczu posiadają swoje kabarety, sekcje muzyczne, sportowe, organizują zawody, turnieje, angażują młodzież, pomagają jej mądrzej i lepiej spędzać czas. A czasu nasza młodzież w ogóle ma dużo, w małych miasteczkach bardzo dużo.

W każdym bądź razie jest rzeczą niewątpliwie pewną, że ZMS w Łowiczu w ciągu jednego roku dokonał wiele, gdyż zaktywizował młodzieżowe środowisko. Miejmy nadzieję, że młodzi działacze tego miasta na tym nie poprzestaną, nie wypali się tak szybko ich zapał, energia i inwencja. Im więcej sami dokonają, tym zdobędą większe zaufanie społeczne, a z tym wiąże się większa pomoc ze strony wszystkich powiatowych instytucji. Taka jest już kolej rzeczy, na czyjąś realną pomoc można liczyć tylko wtedy, gdy ma się własne osiągnięcia.

Planów, zamierzeń, projektów łowicka organizacja młodzieżowa ma, rzecz jasna, dość dużo. Nie będę o tym na razie pisał, gdyż młodzieńcze plany są zwykle bardziej ambitne, niż możliwości ich realizacji. Wymienię tylko nazwiska najaktywniejszych: Michał Drzażdżyński, Kazimierz Piotrowski, Maria Bartos, Wiesław Jachimowski, Jolanta Jagoda i Stanisław Kardialik.

Warto przy okazji zauważyć, że młodzież łowicka nie jest jakimś szczytnym wyjątkiem na terenie naszego województwa. Cała wojewódzka organizacja ZMS ma pokaźny dorobek, nie tylko w pracy ideowo-politycznej, lecz również na polu kulturalno-oświatowym. Województwo łódzkie zajmuje pierwsze miejsce w kraju jeśli idzie o ilość zweryfikowanych klubów ZMS. Jest tych klubów dotychczas dziewiętnaście. Klub zweryfikowany to taki, który faktycznie działa, a nie istnieje tylko na papierze. Ponadto w swej pracy nastawiony jest szczególnie na kształcenie postaw kulturalnych. Część naszej młodzieży jest bowiem dość bierna pod tym względem. Przywykła do korzystania z dóbr kulturalnych, odwykła natomiast od osobistego wkładu pracy w tę dziedzinę. Rola ZMS polega na tym, że nie tylko organizuje, lecz inspiruje młodzieżowy ruch kulturalny. Jest to tym bardziej cenne, że wszystko odbywa się prawie bez nakładów finansowych. Fundusz ZMS na ten cel jest bardziej niż skromny. Swą działalność organizacja opiera z reguły na współpracy, szczególnie ze związkami zawodowymi.

Miarą właściwego i prawidłowego stosunku do młodzieży jest aktywność klubów ZMS. Tam, gdzie dorośli rzeczywiście wykazują troskę i niosą pomoc młodzieży, tam kluby ZMS działają wyjątkowo skutecznie. Ciekawa współzależność. Przykładem tego jest klub „Przy kominku" w Pabianicach. Działa on przy Zakładowym Domu Kultury Pabianickich Zakładów Przemysłu Bawełnianego. Właśnie dzięki pomocy i życzliwości Zakładów jest to chyba najlepszy klub w województwie. Mimo, że istnieje dopiero od niedawna, potrafił sobie zdobyć szeroką popularność wśród pabianickiej młodzieży. Dużo osobistej inicjatywy i pomysłowości włożyli w pracę tego klubu kol. kol. Bogusław Zaremba i Janina Jeżak.

Na wyróżnienie zasługuje także klub „Leśny" w Tuszyn-Lesie. Skupia on prawie całą młodzież tej podłódzkiej miejscowości. Ponieważ czynny jest codziennie stał się ulubionym miejscem spotkań młodzieży zorganizowanej i niezorganizowanej. Odwiedza go dziennie od 50 do 70 osób. Fakt, że spełnia on rolę jedynej placówki młodzieżowej w Tuszynie.

Z innych klubów ZMS, działających rzetelnie na terenie naszego województwa wymienić można: „Ambara-s" w Piotrkowie, „Pod Sową" — w Zgierzu, „Fafik" — w Sieradzu, „Relaks" — w Głownie, „Orfeusz" — w Tomaszowie i „Stokrotkę" w Koluszkach.

Półka z książkami

WSPOMNIENIA JEŁOWIECKIEGO

Tę książkę należy polecić każdemu, kto lubi historię i pragnie poznać ją również od strony losów osobistych. Aleksander Jełowiecki, żyjący w latach 1804—1877, był uczestnikiem powstania listopadowego, posłem na sejm w 1831 roku, później — jednym z wybitniejszych przedstawicieli wielkiej emigracji. Ale nie tylko to. Był także ciętym publicystą i utalentowanym pisarzem. Przekonacie się o tym, czytając jego wspomnienia. Autor pisze w nich o swoim dzieciństwie i domu rodzinnym, o latach nauki, o walce i działalności patriotycznej, a także o tułactwie poza granicami po upadku powstania listopadowego. Dobry Polak, ale nie ślepo zakochany we wszystkim co polskie, Aleksander Jełowiecki potrafi odnieść się krytycznie do wielu własnych i cudzych poczynań. Umie odróżnić to, co cenne, choć obce, od tego, co powierzchowne, choć własne.

„Moje wspomnienia" ukończył Jełowiecki w Paryżu 2 października 1838 roku a więc ponad 130 lat temu. Mimo to (a może właśnie dlatego) czyta się jego książkę z zainteresowaniem i ciekawością. Autor przytacza wiele mało znanych szczegółów, analizuje przyczyny upadku powstania listopadowego, mówi o spotkaniach z Polakami i cudzoziemcami. A wszystko to napisane nienaganną polszczyzną. Ową polszczyzną, która jest dość stara, by tchnęła swoistym urokiem, a zarazem dość żywa, aby zachęcała do czytania. Krótko: lektura w sam raz na niepogodę w letnie miesiące w domu i na wczasach.

jk.

Aleksander Jełowiecki: „Moje wspomnienia", PAX, Warszawa, 1970.

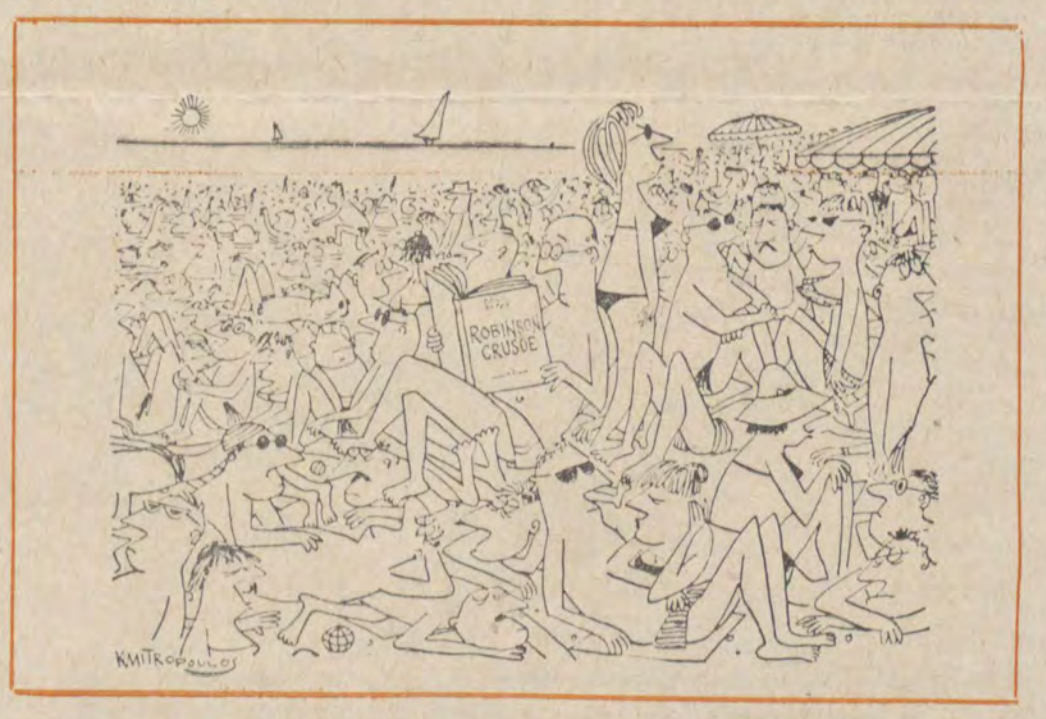

FELIKS BĄBOL

Lato w Świnoujściu

W kawiarniach panowie w koszulach z zagniecionymi w walizkach kołnierzykami, panowie z długimi włosami, brodacze i wąsacze. Coraz częściej wśród nich spotkać można Szwedów, których niestrudzenie zwozi tu luksusowy prom „Gryf". Zaniedbani są w ubiorze, bladzi na ogół i bezpretensjonalni. Chętnie siadają w kawiarni „Orbisu", z zapałem podrywają nasze dziewczęta na deptaku. Wielu naszych braci rodaków jednak snobuje się na zagraniczników, a niektórzy noszą barwne swetry z wyszytymi napisami: „Drinking Team", oznajmujących kwalifikacje i zainteresowania osobiste. A „Drinking Team" oznacza mniej więcej tyle co „pijacka banda".

Część zagranicznych gości, po załatwieniu formalności z objęciem przydzielonego pokoju w „Orbisie", w hotelu miejskim czy w kwaterach wynajętych na mieście, bezzwłocznie wsiada na prom, kupuje bilet na stacji i pędzi do Międzyzdrojów, gdzie zabawia się na całego. Zresztą i dziewczyny wiedzą, że główny targ na miłość odbywa się tam, w Międzyzdrojach.

* * *

Kwater wolnych w tym roku znacznie więcej w Świnoujściu niż w latach ubiegłych. Ofert wypisanych na kartkach zeszytowego papieru pełno na drzewach w parku, na ulicach, na promenadzie, na budkach z piwem i słupach oświetleniowych. Podaż jest zatem większa, ale i tak ceny jeszcze nie spadły. Przeciwnie — w wielu nowych blokach, które wybudowano ostatnio w śródmieściu, za mały pokoik, urządzony na siłę jako nocleg dla czterech osób, żąda się więcej niż w roku ubiegłym, bo aż 140 zł za dobę. Ale ceny spadną, bo wielu właścicieli miejsc do spania dostanie „w kość", gdy się okaże, że przyjezdnych z forsą jakoś coraz mniej, a zagraniczni cy polokowali się w sanatoriach, domach wczasowych, „Orbisie" i innych oficjalnych instytucjach polujących na dewizy. W sanatoriach tutejszych wracają więc do zdrowia i nasi kuracjusze i schorowani goście zagraniczni.

* * *

Chodząc po Świnoujściu łatwo można popaść w zachwyt na widok przebiegłości i zaradności różnych przedstawicieli fabryk, zjednoczeń i instytucji. Przedstawiciele ci wiedzieli, kiedy przyjechać do Świnoujścia, by zagospodarować dla swych przedsiębiorstw i zakładów jakąś pięknie położoną willę, dom wczasowy czy ośrodek wypoczynkowy. Było to kilkanaści lat temu, dzisiaj zaś obserwujesz skutki: najwięcej domów wypoczynkowych i wczasowych opanowali tu szczeciniacy, bo mieli najbliżej. Nie mam nic przeciwko temu wielkiemu portowi i uroczemu miastu nad morzem, ale aż dziw bierze, że na przykład szczecińskie przedsiębiorstwo kanalizacji ma tu więcej miejsc wczasowych niż cały łódzki przemysł włókienniczy. Załogi łódzkiego przemysłu włókienniczego łakną jodu, potrzebny jest on może i pracownikom kanalizacyjnym ze Szczecina, ale ostatecznie — te proporcje, proporcje...

* * *

Sytuacja człowieka w sanatorium nie jest znowu tak bardzo godna zazdrości. Dostaje on co prawda bezpłatne skierowanie na 24-dniowy pobyt wraz z wyżywieniem i zabiegami leczniczymi, ale...

- chociaż darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby — wyżywienie jest małokaloryczne i mało urozmaicone;
- pokoje w sanatorium są zbyt nio zagęszczone, a do bardzo rzadkich wyjątków należy pokój 2-osobowy, gdyż przeważają 3—4-osobowe, w których w rzeczywistości męczy człowieka każda próba oderwania się, każde pragnienie nerwowego wypoczynku. Ścisk — bo szereg sanatoriów przeżywa długotrwały remont, bo ze względu na dobro ogólnogospodarczodewizowe niektóre domy trzeba oddać na potrzeby gości zagranicznych;
- zabiegi odbywają się w warunkach nie spotykanych w innych miejscowościach (np. w Polanicy, Krynicy itp.). Łazienki aż lepią się od brudu, a łaziebne (tak chyba nazywają się owe panie, odhaczające na karcie zabiegowej przybycie kuracjusza na zabieg) tłumaczą ten brud tym, że remont budynku miał się już odbyć i że teraz właśnie tylko czeka się na zamknięcie usług. A dlaczego wanny do kąpieli kwaso-węglowych są aż rudo-czarne? — Bo nie wolno ich myć kwasem solnym. Nic — tylko zapytać czym myją je w polanickich sanatoriach, że ciągle są czyste i białe. W kabinach z tymi rudo-czarnymi wannami wieszaki na ubrania trzymają się na sznurkach i drutach, a kuracjusz w czasie kąpieli odgrodzony jest od świata zewnętrznego fruwającym prześcieradłem.

Pewien mój znajomy, który otrzymał zlecenie lekarskie na kilkanaście kąpieli, radził się, ile dać łaziebnej, bo dać trzeba, gdyż

ANDRZEJ GRUN

Z pracowni łódzkich plastyków

Człowiek i kamień

W rogu, pod samym sufitem pracowni świeci w półcieniu zmurszałą bielą spatynowanego przez kurz gipsu nadnaturalnej wielkości głowa młodzieńca. Łagodnie wykrojone, zmysłowe usta, bezosobowe, nieco antyczne rysy twarzy, spojrzenie nieobecnych, gipsowych oczu przenika ściany pracowni, zda się wybiegać gdzieś daleko — w nieskończoność.

Nie opodal, na drewnianym regale, grupa kobiet stopionych w jedną, monolityczną bryłę. Statyczna kompozycja rzeźby, uproszczony, oszczędny, niemal brutalny modelunek. Wewnętrzne napięcie podkreślone zdecydowanym rytmem fałd ubioru. Twarze kobiet zacięte, gniewne i wyczekujące jednocześnie. W dolnej partii rzeźby, pośród sfałdowanych, kamiennych szat — krucha postać małej dziewczynki. Pył i czas spatynowały obojętną biel gipsu — przydały niewielkiej rozmiarami rzeźbie monumentalnego wyrazu. Poznaję tę rzeźbę. Zna ją wielu mieszkańców Łodzi. To projekt tej, którą w Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego oglądać można prawdziwie monumentalną, pełną groźnego buntu i szczerego, prawdziwego humanizmu...

Obok, na tym samym regale, między kompozycjami zrytmizowanych w różnych wariantach kamiennych brył geometrycznych, oznaczonych delikatnymi reliefami postaci i pisma — propozycjami któregoś z kolei pomnika poświęconego martyrologii — biały, smukły czworoboczny obelisk zwieńczony stylizowanym orłem z szeroko rozpiętymi skrzydłami. Spokojny, skromny, niemal klasyczny w proporcjach — rzeźbiarz całą uwagę skupił na sylwetce orła, na modelunku i stylizacji godła. Przejeżdżając kiedyś przez Zelów, zwróćcie, proszę, uwagę na obelisk stojący na rynku — smukły, czworoboczny obelisk o niemal klasycznych proporcjach, zwieńczony stylizowanym orłem. Jego to model oglądam właśnie w pracowni....

Złociście połyskują w kącie pracowni wypolerowanym drewnem pełne ażurów i ruchu kompozycje. Wrzecionowane formy płyną w powietrzu, falują równomiernie. Spokój i harmonia niczym nie zakłócone. Pulsacja kształtów przypomina ławicę ryb, sunącą w nieruchomej wodnej toni...

Błądzę wzrokiem po ścianach — medale, plakiety, charakterystyczny profil Naczelnika, otoczony meandrem pisma, gołąb uchwycony w locie, twarz dziewczyny o migdałowych oczach, odlane w metalu...

Na stołach leżą rzędem ceramiczne plakiety z płaskorzeźbami, wyobrażającymi kostiumy z różnych epok — z gotyku, z renesansu, z baroku. Jedne mienią się żywymi barwami różnorakich polew, inne z surowej gliny czekają na swoją kolej w ceramicznym piecu...

Czas wyjaśnić. Jestem w pracowni łódzkiego rzeźbiarza, **ANTONIEGO BIŁASA.** W pracowni podobnej na pierwszy rzut oka do innych, oprószonej gipsowym pyłem, pachnącej wilgotną gliną, wśród rzeźb, kawaletów, długich stołów zbitych z desek, narzędzi... A jednak innej, bowiem każda pracownia ma specyficzny, własny nastrój. Niepowtarzalną atmosferę, która w jakimś stopniu rzuca światło na sylwetkę człowieka w jej ścianach tworzącego. Charakteryzuje jego osobowość. Jakże często właśnie wygląd pracowni pozwala dogłębniej wniknąć w osobowość artysty, w intymne i zawiłe procesy tworzenia, w równym stopniu, co stosy szkiców i projektów roboczych. Pracownia Antoniego Biłasa jest przestronna, wydaje się prawie pusta. Kilka rzeźb stojących pod ścianami, na regałach, ogromne zdjęcia trzech figur z romańskiego portyku jakiejś katedry, stoły i dłuta, piec ceramiczny, puszki z polewami, które jak mityczne Salamandry zaczynają dopiero w ogniu ożywać pełnią barw. To wszystko. A jednak — a może właśnie dlatego — jest w tym pomieszczeniu atmosfera pracy.

Biłas jest artystą, którego zainteresowania od wielu lat skupiły się przede wszystkim na rzeźbie monumentalnej, pomnikowej. I w tej dziedzinie poszczycić się on może najistotniejszymi osiągnięciami. W Łodzi i województwie rozsianych jest wiele obelisków, tablic pamiątkowych, pomników związanych z latami męczeństwa i walki, z ruchem rewolucyjnym, które wyszły spod dłuta Biłasa. Fakt, że artysta ten zajął się prawie bez reszty tym właśnie rodzajem rzeźby dowodzi nie tylko rozmachu, wykształconej w wysokim stopniu wyobraźni plastycznej, dużej sprawności warsztatowej. Określa wyraźnie przede wszystkim samego człowieka — artystę, któremu intensywność przeżycia, osobistę zaangażowanie, postawa wobec świata i jego spraw najistotniejszych pozwoliły na podejmowanie takich właśnie a nie innych tematów i nadawanie im plastycznego kształtu. Czymże bowiem jest pomnik? Poza tym, że jest formą organizującą przestrzeń, jest przede wszystkim plastycznym zapisem jakiejś idei, która organizuje duszę ludzką, która winna przetrwać w społeczeństwie, kształtując ludzi, integrując naród. Nie bez powodu Niemcy z taką zaciekłością, z taką zwierzęcą pasją niszczyli pomniki podbitych narodów, niszczyli pamięć tych narodów, zapisaną w kamieniu. Artysta chcąc stworzyć pomnik prawdziwie dobry, przemawiający nie tylko do wyobraźni, ale i do serc ludzkich, musi być głęboko przekonany o słuszności idei, którą ten pomnik ma symbolizować, musi posiadać tę ogromną, wewnętrzną pasję, pozwalającą mu przekazać coś więcej niż samo doznanie estetyczne. Z dzieł, które Antoni Biłas stworzył wnioskować można, że jemu tej pasji, tej wiary nie zabraknie. Nie zabrakło tej plastycznej wyobraźni, czyniącej z jego monumentów istotne dzieła sztuki.

Tym, co wyróżnia szczególnie twórczość Biłasa spośród dorobku całej reszty łódzkich rzeźbiarzy — obok emocjonalnego zaangażowania oczywiście — jest bez wątpienia wysoki stopień sprawności technicznej, wszechstronna znajomość warsztatu rzeźbiarskiego, jego najdalszych tajników, rozpiętość środków artystycznych, którymi się posługuje. Nie ma w rzeźbach Biłasa śladów dyletanctwa i nie skonstrolowanego przypadku.

Biłas studiował przed wojną rzeźbę w Instytucie Sztuk Plastycznych we Lwowie. Zawierucha wojenna przetasowała ludzi, jak karty w talii. Biłas z wojskiem doszedł do Łodzi i stała się ona dla niego drugim miastem rodzinnym. Mieszka tu i tworzy od dwudziestu pięciu lat. Jedną z pierwszych poważniejszych prac Antoniego Biłasa dla Łodzi były cztery płaskorzeźby na odbudowanym z gruzów cokole pomnika Kościuszki. Jedną z ostatnich prac — pomnik Powstańców w Polichnie. Dwadzieścia pięć lat w historii — to właściwie niewiele — w życiu człowieka, artysty, to szmat czasu. Pomnik w Polichnie stanowi w chwili obecnej dzieło wieńczące 25-letni wysiłek twórczy Antoniego Biłasa, rzeźbiarza łódzkiego, który najwięcej wysiłku włożył w stworzenie dzieł będących kroniką pamięci narodowej.

Oczywiście, pomniki nie wyczerpują listy rzeźbiarskich realizacji Biłasa. Można by pisać o wnętrzach LOT, i „Orbisu" w Kairze, Londynie, Wiedniu, w których kompozycje rzeźbiarskie łódzkiego artysty dają świadectwo kultury polskiej. Można by pisać o wystroju Filharmonii Warszawskiej, w kuluarach której co krok napotykamy na ślady dłuta Biłasa. Tych „innych" prac znalazłoby się wiele. Ale nie o to chodzi. Nie mam zamiaru przedstawiać katalogu prac. Dla mnie główny nurt twórczości Biłasa stanowi rzeźba pomnikowa, monumentalna. I na ten fakt chciałem zwrócić uwagę czytelnika, który chodząc po ulicach Łodzi, jeżdżąc po województwie jakże często styka się z jego dziełami, z jego pomnikami, tablicami pamiątkowymi, obeliskami.

Z woleja

DŻENTELMENI *w krótkich* SPODENKACH

Często w trakcie sportowej walki jesteśmy świadkami różnych, nieraz nie zamierzonych przez zawodników sytuacji. Raz jest to jakiś nieczysty cios, raz noga nie trafia w piłkę, a... w przeciwnika. Sędziowie z reguły odpowiednio reagują na owe przewinienia, nie zaliczając ciosu, czy dyktując rzut karny. My jako kibice oczekujemy zawsze czegoś więcej, jakiegoś przepraszającego gestu — czy to uścisku ręki, czy chociażby słowa „przepraszam". Jednak w wielu wypadkach ów gest nie następuje. Wtedy to atmosfera spotkania staje się coraz gorętsza, mnożą się rozmyślne faule, zatracone zostaje piękno sportowej walki. Co gorsza, tego rodzaju sytuacje na zawodach, aczkolwiek sporadyczne, powtarzają się ostatnio dosyć często. A przecież szczególnie od sportowców, którzy są wszak wzorem dla młodzieży i znajdują się w centrum uwagi społeczności szczególnie należy wymagać tego, co nazywamy kulturalnym sposobem bycia.

Cóż, kiedy nasi sportowcy nie umieją przegrywać. Bardzo to trudna bowiem sztuka zgodzić się z porażką, o wiele trudniejsza niż zwycięstwo. Z reguły młodzi sportowcy za swoją klęskę winią sędziego, pogodę, działaczy czyli jednym słowem tzw. układy, natomiast absolutnie nie winią siebie. Ale, jak to już w sporcie bywa, ktoś musi przegrać. Ważne jest tylko, w jakim stylu tę porażkę się przyjmuje i w jakiej sytuacji zapamięta pokonanego publiczność.

Zresztą i do kibiców można mieć w tym względzie pretensje. Przegrywający na własnym terenie zespół, żegnany jest przeważnie gwizdami, wrogimi okrzykami, często lecą na boisko czy ring butelki. Jeżeli od sportowców wymaga się kulturalnego zachowania, należy tego wymagać także i od publiczności, a z tym już jest dużo gorzej.

Kiedyś w rozmowie z czołowym polskim piłkarzem, zawodnikiem jednego z łódzkich klubów, usłyszałem następujące stwierdzenie: „Wie pan, kiedy zespół wygrywa, nie możemy spokojnie ubrać się w szatni po meczu, tylu jest działaczy i sympatyków. Kiedy jednak przyjdzie okres niepowodzeń, a taki przecież w każdej drużynie się zdarza, nie zjawia się nikt. A przecież i wtedy, kiedy wygrywamy i wtedy, kiedy przegrywamy staramy się wypaść jak najlepiej. Czy my jesteśmy temu winni, że akurat nasi przeciwnicy są w lepszej formie?" Komentarza chyba nie trzeba.

Różne są porażki. Na tegorocznych mistrzostwach Europy w podnoszeniu ciężarów sensacyjną porażkę poniósł złoty medalista olimpijski, wielokrotny mistrz świata i rekordzista Waldemar Baszanowski. Miał prawo się zdenerwować, gdyż przegrał nie w uczciwej, sportowej walce, ale przy tzw. zielonym stoliku. Otóż, kiedy zakończył on już boje, na pomoście pozostał jego największy konkurent, przedstawiciel drużyny gospodarzy Węgier Bagocsi. Miał on podnieść ciężar, który przed chwilą dźwignął Baszanowski, a ponieważ był od Polaka lżejszy, jemu przypadłby w udziale złoty medal. Węgier podniósł sztangę, jednak ciężaru nie mógł utrzymać. Podbiegł wtedy do niego jeden z trenerów i pomógł mu sztangę opuścić. Trzej sędziowie zgodnie nie zaliczyli boju. Jednak po 20 min. gorącego sprzeciwu publiczności i nacisku miejscowych działaczy, dwóch sędziów zmienia swój werdykt. Złoty medal przypadł w udziale Węgrowi. Wiecie, kto pierwszy pogratulował mu zwycięstwa? Waldemar Baszanowski. Z podziwem skwitowały to wszystkie agencje prasowe świata. Na szczęście sprawiedliwość zwyciężyła i w wyniku protestu naszej ekipy złoty medal otrzymał ten, kto rzeczywiście wygrał w sportowej walce — Polak. A przecież mógł się zdenerwować, mógł protestować.

W ważnym, liczącym się do klasyfikacji Pucharu Świata przejeździe slalomu, w czasie piekielnej zadymki Andrzej Bachleda ominął jedną bramkę. Widoczność była bardzo słaba, nie widzieli tego faktu sędziowie. Bachleda mógł wygrać ten slalom. Jednak zaraz po zakończeniu przejazdu Polak stawił się przed komisją sędziowską i poinformował o fakcie. Został zdyskwalifikowany, ale wolał być uczciwym, niż wygrać nieuczciwie.

Wielu jest w Polsce sportowców — dżentelmenów, wiele przykładów takich jak powyższe można by jeszcze przytoczyć. Jednocześnie na boiskach, salach gimnastycznych obserwujemy zbyt wiele jeszcze przypadków tego, co można nazwać jednym słowem — chamstwo. Wynika z tego jeden wniosek — deklaracje o pracy wychowawczej w klubach powinny wreszcie przestać być li tylko deklaracjami na papierze, a efekty tej pracy powinny być widoczne na zawodach.

MIECZYSŁAW STOLARSKI

---

taki zwyczaj. 10 zł, czy wystarczy 5? Po pierwszej kąpieli powiedział mi, że nie dał ani grosza i że jego noga więcej w tych łazienkach nie postanie.

* * *

Nie przesadzajmy jednak. Zasady zachowania się w sytuacji, gdy podarują ci konia, obowiązują przecież mimo wszystko. Obliczyłem, że państwo wydaje tu lekką ręką tylko w jednym sanatorium (np. w „Światowidzie") i tylko w ciągu jednego turnusu kuracyjnego ponad 1 milion zł. A tych sanatoriów pełno, a te turnusy ciągną się przez okrągły rok.

Turnus na przełomie czerwca i lipca był ostatnim turnusem dla weteranów. Wszystko starzy ludzie, sterani chorobami, pracą całego życia, kalectwem. Pochodzą z różnych miejscowości, wielu — z małych miasteczek i wsi. Pobyt w sanatorium jest dla nich ogromnym dobrodziejstwem, mimo, że wikt jest małokaloryczny, a łazienki domagają się radykalnej przebudowy i remontu. Rzucają się na sterty chleba podawanego przy każdym posiłku, wymiatają „po warszawsku" (wylizując talerze) wszystko co otrzymają na obiad czy kolację. Jeszcze na długo przed otwarciem jadalni krążą niecierpliwie po pobliskim skwerku, aby jak najszybciej zająć miejsce przy stoliku, aby zupa i kawa nie wystygły, aby ze stosów chleba wybrać najmniej czerstwe kawałki. I chodzą na te kąpiele, choć wanny są brudne, bo wiara w skuteczność zabiegu potrafi zabić nawet odrazę.

Ci ludzie opowiadali pewnego dnia w jadalni, że w nocy umarł w sanatorium profesor. Skąd przybył? Zdania były podzielone — jedni mówili, że z Lublina, inni — że z Rzeszowa. Na co umarł? Czy na serce? Powietrza mu podobno brakowało, dostawał już w ostatnich dniach tlen, a w nocy przyjechało po niego pogotowie. Jeszcze trochę żył — opowiadali weterani-kuracjusze przy stolikach w jadalni — a potem umarł. Ze smutkiem opowiadali o tym wydarzeniu, wspominając, że żona profesora jeszcze nie przyjechała do zmarłego, że przed śmiercią nie otoczono go dobrą opieką.

Może w tych opowieściach o śmierci profesora była i przesada, ale lęk opowiadających, ludzi starych i zmarnowanych, był zrozumiały.

— A po co przywożą ciężko chorych do sanatorium?

— To pan nie wie? — tłumaczył mi ktoś.. — Czasem i własne żony wypychają takich umarlaków z domu, bo nie lubią patrzeć na cudzą śmierć. Zdziwi się pan, że mówię — cudzą — tak jest niekiedy w życiu. Niech pan nie zapomina, że w pewnym wieku i wśród pewnych małżeństw ludzie starzy są już sobie wzajem bardzo obcy. Zresztą, niech pan poczyta „Fałszerzy" Andre Gide'a, on te sprawy podpatrzył znakomicie.

* * *

W Swinoujściu modne są w tym roku ajencje. Pełno tu ajencyjnych kawiarń, barów i restauracji. Nawet stoiska z kiełbasą, drobiem i szaszłykami z rożna opanowali ajenci. Gdy to widzisz i masz świeżo w pamięci przeżycia związane z podróżą kolejową, ciśnie ci się pytanie: kiedyż wreszcie w ajencje wypuści się bufety dworcowe na wózkach? Przecież kilkanaście tysięcy ludzi w Polsce, a głównie kobiet, znalazłoby intratne zajęcie od zaraz, a podróżni przestaliby przebijać się przez nasz piękny kraj o suchym pysku, z przyschniętym do podniebienia językiem.

Ajentom oddano tu niemal wszystkie lokale drugiej i trzeciej kategorii, a ten manewr chwalą sobie i ojcowie miasta i sami ajenci, a przede wszystkim tłumy przyjezdnych, którzy zaskoczeni są w Świnoujściu wspaniałą i szybką obsługą, dobrym zaopatrzeniem tej małej gastronomii, bogatym asortymentem potraw i napojów. Wszędzie oferują ci tu piwo zimne i nie mrożone, to samo inne napoje, porcję węgorza, chrupiące bułeczki. W ten sposób wszyscy są zadowoleni.

Do bractwa jednak wkupić się nie tak łatwo. Pewna łodzianka, która znalazła tu pracę w lokalu ajencyjnym, marzyła po przyjeździe o własnym przedsiębiorstwie, jakimś barze szybkiej obsługi. Ale odradzili jej ludzie dobrze zorientowani. — Niech pani najpierw zaczepi się gdziekolwiek, niech pani zacznie od zwykłej kelnerki, a potem bufetowej. Miejscowi ajenci wygryźliby panią, gdyby pani z miejsca chciała robić duże interesy. Zawiść, niechęć do ludzi z innych okolic? Nie, po prostu prawo klanu.

Ajenci zorganizowali się, regulują nawet sytuację na rynku pracy — zobowiązali się do płacenia kelnerkom prowizji tylko w umówionej między sobą wysokości, by nie szukały pracy co parę dni gdzie indziej, zorganizowali sobie źródła zaopatrzenia w warzywa i ryby, ustalając ceny maksymalne, aby jeden drugiego nie podkupował itp.

Sektor to nieważki, skromny, działający na odległym marginesie wielkiej gospodarki narodowej, ale zna się na bodźcach, na rachunku ekonomicznym i żelaznych prawach podaży i popytu.

Wczasowy Konkurs „Odgłosów"

DOKĄD ONI JADĄ?

Jesteśmy w samym centrum wczasowego szczytu. Wyjeżdżamy wszyscy do Mszany Dolnej i do Złotych Piasków, nad polski Bałtyk i nad węgierski Balaton. Na dworcach tłok i w pociągach nie ma gdzie wsadzić przysłowiowej szpilki... Słowem — trwa wielka wczasowa wędrówka ludów.

Typową sytuację narysował powyżej **STANISŁAW IBIS-GRATKOWSKI.** Dworzec kolejowy, a na nim w oczekiwaniu na pociągi — **Violetta Villas, Irena Dziedzic, prof. Tadeusz Kotarbiński, Jarosław Iwaszkiewicz, Andrzej Wajda i Sobiesław Zasada..** Wszyscy czekają na pociąg pod wielką planszą rozkładu jazdy.

Ale dokąd pojadą? Właśnie zadaniem Czytelników jest prawidłowo podać cel podróży naszych konkursowych wczasowiczów. Zadanie nie jest trudne — wystarczy uważnie przyjrzeć się rekwizytom i akcesoriom, jakie dzierżą postacie na rysunku.

Prawda, że proste?

Wystarczy tylko wybrać odpowiednią miejscowość z rozkładu jazdy obok litery oznaczającej wczasowicza i wypisać ją na kuponie.

Odpowiedzi prosimy nadsyłać do dnia 15 sierpnia br. na adres Łódź, Piotrkowska 96, tyg. „Odgłosy" — z dopiskiem na kopercie: „Dokąd oni jadą?".

Wśród uczestników konkursu rozlosowane zostaną cenne nagrody:

- **bon towarowy na zł 1.500**
- **bon towarowy na zł 1.000**
- **bon towarowy na zł 700**
- **roczna prenumerata „Odgłosów".**

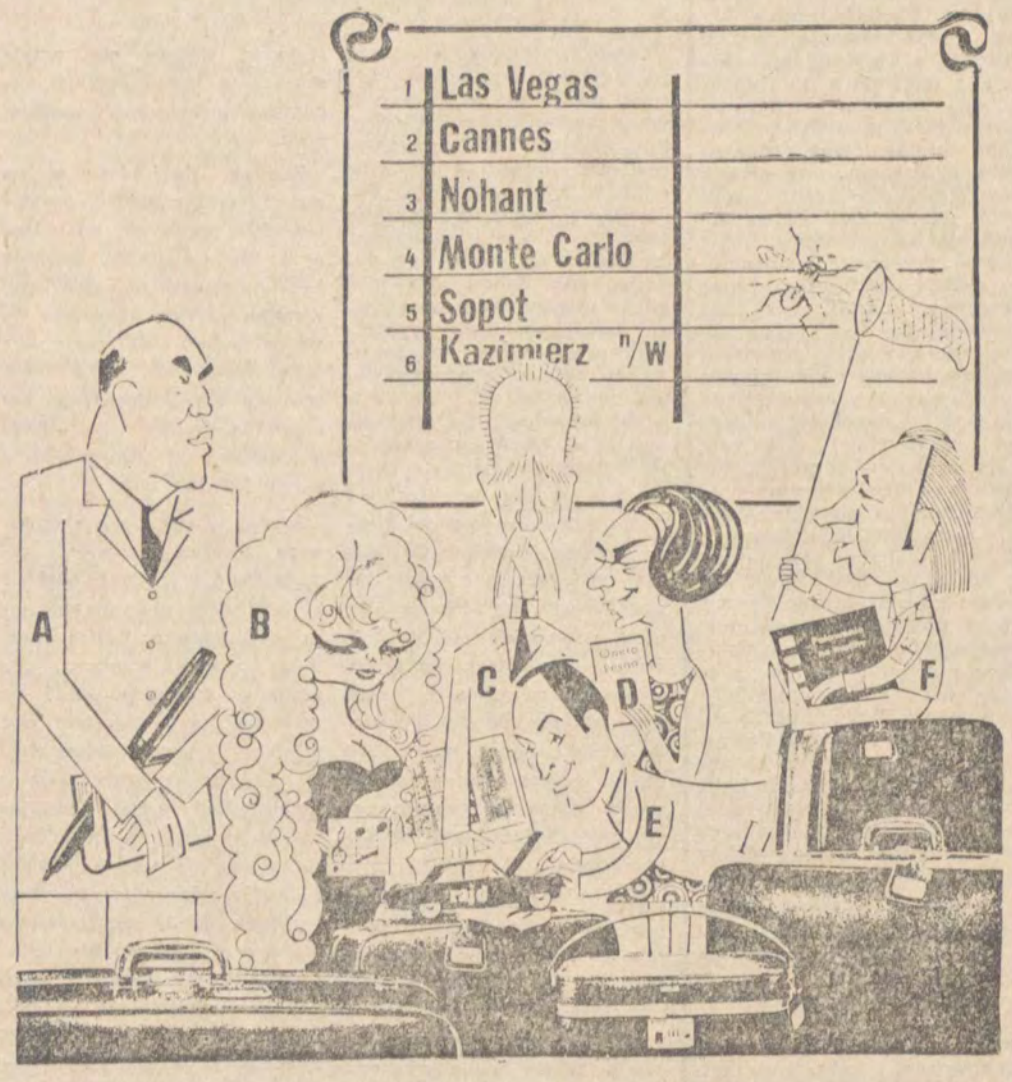

A
B
C
D
E
F

Nazwisko i imię . . .
. . . . . .
Adres . . . . . .
. . . . . .

W następnym numerze „ODGŁOSÓW":

Wspomnienia uczestnika powstania warszawskiego ★ Wędrówki archeologów po Ziemi Łódzkiej ★ O wykroczeniach i karach ★ Ponadto nowela kryminalna — do czytania w domu i na wczasach ★ Felietony ★ Wiadomości ze świata itp.

TV OBIEKTYW

PASZKWIL NA SNOBIZM CZYLI MÓJ GŁOS W DYSKUSJI NAD ROZRYWKĄ TELEWIZYJNĄ

Czas mamy dla recenzenta telewizyjnego niesprzyjający. Bieżący program nie dostarcza zbyt wielu okazji dla efektownych komentarzy. Urlopowa beztroska i kanikularna niemoc panuje wszechwładnie w telecentrum przy ulicy Woronicza.

Może więc pora na podsumowanie tego co przeszłe i wypowiadanie życzeń pod adresem tego co przyszłe? Stołeczny magazyn filmowy i telewizyjny „Ekran" zainicjował dyskusję wokół spraw telewizyjnej rozrywki. W cyklu artykułów pod hasłem „Gdzie jesteś rozrywko?" wypowiadali się już m. in. Marek Sart, Jan Pietrzak, Jerzy Dobrowolski, Janusz Rzeszewski, Jeremi Przybora, Wowo Bielicki, Wojciech Młynarski i Tadeusz Chmielewski. Punkt kulminacyjny dyskusji zbliża się i tylko patrzeć jak głos zabierze główny spec od TV-rozrywki — Witold Filler.

A może przedtem odezwie się świetny tandem Gruza — Fedorowicz? W ostatnich czasach oni mają do odnotowania najwięcej sukcesów na tym polu. Po co jednak mieliby wypowiadać się w dyskusji „Ekranu", skoro wypowiadają się tak skutecznie w swoich cyklicznych widowiskach rozrywkowych na małym ekranie!

Właśnie zakończył się z pewnością udany i popularny wśród telewidzów cykl „Kariera". Autorom przyjdzie wymyślać nową formułę dla kolejnego cyklu. I może dlatego chciałoby się pod ich adresem wypowiedzieć nieco krytycznych uwag. Pochwały już były, kolej na parę złośliwych refleksji na prawach paszkwilu.

Bardzo cenię sobie dowcip i pomysłowość braci syjamskich telewizyjnej rozrywki. Bawiąc się w czasie oglądania serwowanych przez nich programów, zżymam się jednocześnie na dochodzący zbyt często do głosu czynnik snobizmu. Na czym to polega? Zaraz wyjaśnię.

Gruza i Fedorowicz dobierają uczestników swoich programów kierując się snobizmem. W jednym z programów (chyba jeszcze z cyklu „Małżeństwo doskonałe") Fedorowicz zaprosił na estradę pewnego filmowca. Nomina sunt odiosa! Będę go więc nazywał Bardzo Złym Reżyserem. Otóż Bardzo Zły Reżyser wszedł na estradę nie dlatego, że nakręcił parę filmów fabularnych (o tych parę za dużo!), ale dlatego, że należy do tzw. milieu, do warszawskiego światka artystyczno-intelektualnego.

Nie zamierzam tu szerzyć nastrojów antyspołecznych, ale drażni mnie fakt takiej snobistycznej nobilitacji, nie mającej nic wspólnego z istotnym dorobkiem Bardzo Złego Reżysera. Rozumowanie jest następujące: mieszka facet w Warszawie? Mieszka. Należy do tutejszej socjety? Należy. Można go spotkać na różnych koktajlach, czy na party? Można. A więc dlaczego nie zaprosić go na telewizyjną estradę?

Innym razem zaprasza się do udziału w „Karierze" pewną Mało Dowcipną i Bardzo Zmanierowaną Panią. Nie jest ona niczym tam szczególnym, ale do towarzystwa należy. Sadza się więc Mało Dowcipną i Bardzo Zmanierowaną Panią obok ludzi, którzy w sensie intelektualnym istotnie coś znaczą i traktuje się ją na równi z partnerami. Następuje jakieś dziwne zrównanie o pozorach demokratycznych. Ludzie naprawdę inteligentni i Mało Dowcipna i Bardzo Zmanierowana Pani zostają zrównani. Oni w dół, ona w górę — do poziomu szeregowych członków snobistycznego klanu. Decyduje nie indywidualność, ale sam fakt przynależności.

A może ja się tylko złośliwie czepiam? Wieloletnia i niezmienna popularność „Przekroju" świadczy o tym, że szeroka publiczność lubi się snobizować. Zgoda! Ale snobizujmy się z pewnym wyborem. Snobizujmy się na tych, którzy mogą nam istotnie czymś zaimponować. Snobizować się na Bardzo Złego Reżysera i na Mało Dowcipną i Bardzo Zmanierowaną Panią? Nie ma zgody!

Musiałem wyrzucić z siebie tę garść gorzkich uwag pod adresem Gruzy i Fedorowicza może dlatego właśnie, że ich programy tak na ogół cenię!

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Bułgarski film „ARMANDO" składa się z dwóch nowel, tytułowego „Armanda" i „Białego konia". W obu nowelach panuje nastrój skupienia i jakiegoś dziwnego uroku. Wizualny kształt filmu tworzy go w równej mierze, co prostota treści. Nocny pejzaż niewielkiego miasteczka w „Armandzie", las prześwietlony słońcem w „Białym koniu" — stanowią coś więcej niż tylko tło akcji. Modelowane z wrażliwością czułą, lecz zdyscyplinowaną, ogarniają jakby postaci, których losy skrzyżowały się tu pewnego razu. Współuczestniczą w ich kolejach: tak silną więź między człowiekiem a otoczeniem umieją nawiązywać jedynie mistrzowie wśród operatorów. . Borislaw Punczew i Iwaiło Trenczew wydłużają ten szereg i warto, byśmy zapamiętali ich nazwiska.

A treść jest niezmiernie prosta. W obu nowelach powraca temat II wojny, w ostatnich latach dość często podejmowany przez kinematografię bułgarską. Tu jednak temat ten, angażujący sam przez się masy ludzkie, z natury epicki — zostaje sprowadzony do wzoru ledwie dwuosobowego. Konstrukcja fabularna zarówno „Armanda" jak i „Białego konia" przedstawia bohaterów w środowisku informującym nas, kim są i czym się zajmują, po czym szybko wydobywa ich stamtąd. Usuwa postaci drugorzędne i bohaterowie stają ze sobą twarzą w twarz swobodni i nie kontrolowani w swych decyzjach.

Starcie dwóch mężczyzn, Armanda-Janka w „Armandzie" (nieco słabsi aktorsko Konstantin Kocew i Asen Georgijew), i woltyżera-partyzanta w „Białym koniu" (znakomici Grigor Waczkow i Ilja Dobrew) przybiera różne obroty. Wprowadzają nas one w zadumę nad zawiłościami człowieczej duszy i w tym — w zdolności budzenia myśli, podobnie jak w klarowności konstrukcji, ujawnia się talent scenarzysty, Aleksego Najdenowa. Czechowski talent krótkiego opowiadania — odważę się napisać.

Nowelę pierwszą, „Armanda" zrealizował reżyser doświadczony, Ludmił Kirkow, nowela druga, „Biały koń" jest dziełem debiutanta, Milena Nikołowa. Ale w filmie nie „czuje" się dwóch reżyserów. Godna uwagi jest harmonia ich pracy, ułatwiona zapewne przez skromność, z jaką obaj poddali się wizji scenarzysty. Prawdziwego autora tego interesującego filmu, wzbogacającego nas wewnętrznie bystrym i serdecznym spojrzeniem na człowieka.

☆

Pierre Etaix, twórca „WIELKIEJ MIŁOŚCI", ma życiorys do złudzenia przypominający życiorys Chaplina. Jak Chaplin debiutował w cyrku i music hallu, jak Chaplin wylądował potem i osiadł na stałe w filmowym gatunku komediowym. Jak Chaplin wreszcie ma zwyczaj współtworzyć scenariusze, osobiście reżyserować i osobiście grać w swoich filmach. Maluczko, a będziemy mówić o filmach etaixowskich, tak jak z dawien dawna mówimy o chaplinowskich.

Ale Pierre Etaix jest młodszy o 40 lat od Chaplina i humor, który tworzy, przypada na całkiem inną epokę w dziejach kina. Chaplin wyrósł z kina jarmarcznego, Etaix — to kino uszlachetnione, obrosłe zaszczytami, prawie powszechnie uważane za nie gorszy niż teatr czy literatura składnik kultury. Słowem, kino „intelektualne"... Jeśli Etaix wyciąga rękę i trochę sobie pożycza z czarodziejskich smutno-śmiesznych staroci Chaplina — czyni to ponad głową „Mojego wujaszka" Jacquesa Tatiego, u którego zresztą był gagmanem. Skoro padło na zwisko Tatiego: „Mój wujaszek" uchodzi za najbardziej udany film Tatiego, następne już mu nie mogą dorównać, a pokazany na marcowych Konfrontacjach 69 „Play Time" nieco, wstyd się przyznać, nudził. Rodzi się więc pytanie, czy wyższość „Mojego wujaszka" nie jest przypadkiem zasługą gagmana?

Od roku 1962 — kiedy zrealizował „Zalotnika" — Pierre Etaix pracuje wyłącznie na własny rachunek. I śmieszy, Boże, jak śmieszy. Ten chuderlawy facet ma melancholijną twarz prawdziwego komika i cudowną, zaskakującą bogactwem pomysłów, wyobraźnię. Jego dowcip wynika ze zderzeń: obrazu wyobrażonego z realnym, obrazu z muzyką i dźwiękiem naturalnym, obrazu ze słowem mówionym i w ogóle wszystkiego ze wszystkim. Także dziewiętnastowiecznego obyczaju rodzinnego z dwudziestowiecznym trybem i tempem życia. Można by powiedzieć, że jest to dowcip nieustannego kontrapunktu. Oraz urokliwego pomieszania z poplątaniem, gdyż w „Wielkiej miłości" nie ma wyraźnej granicy między tym, co podsuwa wyobraźnia, a tym, co istnieje rzeczywiście. Wyobrażone zachowuje się jak realne, logika rzeczywistości nic nie traci ze swojej władzy. Wzdycha sobie pewien pan: ach, gdybym był o dziesięć lat młodszy. I staje się młodszy, lecz ukochanej, dla której chciał odmłodnieć, również ubywa lat, zamiast dziewczęcia pojawia się przed nim dziecię. Zaś łóżka, które niczym samochody mkną po drogach, jak samochody powodują korki, a naprawiane brudzą ręce smarem.

I odwrotnie, rzeczywistość nie różni się od marzeń o bajecznie szczęśliwym małżeństwie i usłanym różami życiu. Czyli o wielkiej miłości. Co znaczy „wielka miłość" dowiecie się na końcu tej historii, którą można oglądać po wielokroć z całkowitą pewnością, że za każdym razem odkryje się w niej nowy żart i nową śmiesznotę.

ZASTĘPCA

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

Cerwantes
rys. E. Plawskin

UWIĘZIONY CERVANTES

„Przemyślny szlachcic Don Kichot z Manczy", dzieło Cervantesa od kilku wieków bywa źródłem inspiracji twórczej, a żywot autora tej opowieści fascynuje do dziś pisarzy i artystów.

Ostatnio telewizja francuska nadała film na podstawie opracowania powieściopisarza i nowelisty Pierre Gascara, ukazujący pewien tragiczny wycinek losów autora „Don Kichota". Pierre Gascar zajął się bowiem historią uwięzienia przez piratów Cervantesa i jego przeżyciami w niewoli. Pierre Gascar sam zna los więźnia, bowiem biorąc udział w drugiej wojnie światowej dostał się do niewoli niemieckiej i został internowany w obozie.

Przypomnijmy pokrótce dzieje autora „Don Kichota". Miguel de Cervantes Saavedra (1547—1616) urodził się w Alcala de Henares jako jedno z siedmiorga dzieci cyrulika. Wcześnie przejawił talent do poezji. W roku 1566 pisze głośny poemat — opis śmierci i pogrzebu żony Filipa II, królowej Izabeli. Zaciągnąwszy się do wojska Cervantes walczy w bitwie pod Lepanto. Turecki pocisk druzgoce mu lewą rękę. Mimo to przyszły autor „Don Kichota" bierze dalej udział w wyprawach wojennych przeciwko Turkom. W roku 1575 płynąc do Hiszpanii wpada w ręce piratów, którzy więżą go, zatrudniając w kamieniołomach przy wydobywaniu marmuru.

Pierre Gascar podkreśla w swej opowieści, że Cervantes cieszył się wielkim autorytetem wśród towarzyszy niedoli, że przemyśliwał o buncie więźniów, że mimo spadających nań kar, kilkakrot nie uciekał. Ostatnia ucieczka udała mu się. Wolny, uświadomił sobie, że opuścił swych kolegów więźniów w nieszczęściu, toteż dobrowolnie wraca do kamieniołomu, skąd dopiero w kilka lat później zostaje wykupiony przez zakonników. Powraca do ojczyzny, ale czeka go tu ciężki los biedaka inwalidy. Zmuszony biedą podejmuje się przykrej i niechlubnej pracy poborcy podatkowego. Sprawując tę funkcję poznaje bez miar nędzy i niedoli ludu hiszpańskiego. Zapewne Cervantes cierpi z tego powodu, że stał się przez swój zawód gnębicielem, gdyż bohater jego książki, Don Kichot, będzie właśnie występował w roli obrońcy i opiekuna sierot i wdów, marzył o obaleniu tyranii i niesprawiedliwości. Kiedy „Don Kichot" ukazuje się drukiem, budzi ogromne zainteresowanie, ale ludzie związani z królewskim dworem i możnowładztwem zarzucają autorowi, że ośmieszył ideały narodowe i że książka bynajmniej nie zasługuje na poczytność. Ale kiedy opowieść o przygodach rycerza z Manczy zostaje przetłumaczona na język francuski, nazwisko autora staje się słynne nie tylko we Francji, lecz i w całej Europie. Tymczasem Cervantesa nie opuszczają kłopoty i bieda. Dwukrotnie zostaje nawet wtrącony do więzienia. Znana jest też następująca anegdota. Oto kiedy dwaj dygnitarze francuscy ze świty ambasadora w Madrycie przybywszy do stolicy Hiszpanii pytają o majątek i los słynnego pisarza, dowiadują się, że Cervantes jest chory i niemal bez środków do życia. Wówczas zdumiony Francuz woła: „Jak to? Czyż Hiszpania nie obsypała złotem takiego człowieka jak on?" Drugi zaś Francuz mówi: „Jeśli to nędza sprawiła, że powstały arcydzieła, prośmy nieba, by autor nigdy nie był bogaty. Jego nędza bowiem wzbogaca świat". Ale Francuzi twierdzą, że ta druga wypowiedź wyszła nie z ust francuskiego dyplomaty, lecz cynicznego dworaka hiszpańskiego.

★

ZMARŁ MAC ORLAN

Ciekawa to była postać pisarza i człowieka. Umiłował przygodę, imał się różnych zawodów, był malarzem budowlanym i robotnikiem, później grafikiem (ilustrował pisywane przez siebie bajki) i żołnierzem walczącym podczas pierwszej wojny światowej. Ranny na froncie, został następnie korespondentem wojennym. Pisywał powieści i poezje podpisując się Pierre Mac Orlan (jego prawdziwe nazwisko brzmiało: Dumarchais). Znany był wśród cyganerii Montmartre'u w okresie ożywionego ruchu artystycznego. Miał wielu przyjaciół, do których zaliczał się Picasso, wśród pisarzy i malarzy. Mac Orlan pisywał powieści o ludziach ze społecznego marginesu, o wykolejeńcach, o barwnym życiu wielkich portów, o żołnierzach Legii Cudzoziemskiej. Zawsze nęciła go wielka przygoda tak w życiu jak i w twórczości. Wiele podróżował zwłaszcza po Afryce Północnej. Rozczarowany do rzeczywistości i współczesnej cywilizacji głosił wreszcie, że najpiękniejszą przygodę można przeżyć w marzeniu nie ruszając się z domu.

Do najwybitniejszych powieści Mac Orlana należą: „Śpiew załogi", „Amazonka Elza", „Bulwar we mgle". Dwie jego książki zostały sfilmowane. W roku 1958 Pierre Mac Orlan został wybrany do Akademii Francuskiej.

Pierre Mac Orlan — ilustracja do bajki

Zmarł kilkanaście dni temu we Francji w wieku lat osiemdziesięciu dziewięciu.

Jeden z ostatnich numerów paryskiego tygodnika „Les lettres francaises" przyniósł dwie bajki Mac Orlana z rysunkami autora.

Pierer Mac Orlan — ilustracja do bajki

★

NOWE PRACE DUERRENMATTA

Znana jest u nas twórczość szwajcarskiego pisarza Friedricha Duerrenmatta. Ostatnio autor ten przygotowuje się do wystawienia nową swoją sztukę sceniczną pt. „Portret planety".

Ponadto Duerrenmatt współpracuje z reżyserem nad wystawieniem w sierpniu nowego „Fausta" Goethego. Spektakl oparty zostanie na pierwszym rękopisie wielkiego poety.

ANTOINE ZAPOWIADA NOWE WYSTĘPY

Antoine — popularny śpiewak paryski, kilka lat temu długowłosy, występujący w koszuli w kwiatki i bardzo wówczas modny, ostatnio znów daje znać o swym istnieniu. Przypomnijmy, że zdobył on zawód inżyniera, a kilka miesięcy temu prasa francuska podawała, że Antoine zajmuje się prowadzeniem własnej farmy.

Ostatnio Antoine zapowiedział, że wkrótce udaje się na śpiewacze tournee i odwiedzi czterdzieści osiem miejscowości nad Morzem Śródziemnym.

W czasie tych występów chce on odświeżyć modę na walce i bostony. W dalszych planach Antoine przygotowuje swoją podróż artystyczną naokoło świata. Podróżować ma jachtem, a rejs ten będzie trwał cztery lata.

★

PISMA GARCII LORKI

Nakładem madryckiego wydawnictwa „Alianza" ukazał się zbiór mało dotąd znanych pism Federica Garcii Lorki. Są to teksty wygłaszanych przez poetę prelekcji w Hiszpanii i za granicą. Z Oxfordu donoszą, że ukazała się tam praca pisarza Rafaela Martineza Nadala o Garcii Lorce. Martinez Nadal był przyjacielem Lorki i poeta jemu powierzył manuskrypt swej sztuki teatralnej „El Publico". Sztuka ta została po raz pierwszy wydrukowana w całości. Dotąd znane są tylko dwie sceny tej sztuki, publikowane w 1933 roku w jednym z hiszpańskich czasopism.

Bez strachu

DAWNY DYREKTOR

Spotkałem Dyrektora i ogromnie się ucieszyłem, ogarnęły mnie liryczne, sentymentalne wspomnienia o mojej dawnej pracy — był to bowiem mój Dyrektor, mój dawny, stary Dyrektor, u którego pracowałem przed dwudziestu laty. Powiodłem Dyrektora na kawę, zaprosiłem, posadziłem, utytułowałem, aby uszanować, czy też uszanowałem, żeby utytułować, a wszystko dlatego, żeby wspominać naszą dawną pracę, żeby poszerzyć teraźniejszość przeszłością. „Dyrektor" — myślałem patrząc na Dyrektora z szacunkiem i życzliwością — „Dyrektor był kiedyś potężny — będzie potężny — kiedyś utrzymywał mnie na stanowisku gońca, praktykanta — teraz pomnoży moje życie ciekawymi wspomnieniami, Dyrektor ongiś władca administracyjny, a obecnie władca czasu...". Kiedy postawiono przed nami kawę, kiedy oprzytomnieliśmy z radości spotkania okazało się, że nie ma czego wspominać... Zmieszaliśmy się obaj uprzytomniając sobie, że to Dyrektor nie lubił mnie niegdyś od pierwszego wejrzenia. Kiedy chciano przyjąć mnie na stanowisko młodszego referenta, skreślił wniosek, umieszczając mnie w szeregu gońców i praktykantów. To Dyrektor traktował mnie niegrzecznie, lżył mnie, poniżał i obrażał we mnie człowieka, a w człowieku praktykanta. Dyrektor nie zwalniał mnie na wykłady, szydził, że zacząłem studiować filozofię, mówił, że filozofia jest zbyteczna, a nawet szkodliwa w biurze, że nie przyda mi się do temperowania ołówków.

Dzień, w którym ukończyłem studia, był jego osobistą klęską, w nawale pracy spuścił mnie z oczu i jedynie dlatego doszło do tego... Kiedy opublikowałem wiersze, Dyrektor rozdarł szaty, nazwał mnie szaleńcem, wołał: „Wiedziałem, że to tak się skończy, on tu zacznie chodzić po suficie, podpali biuro — jest przecież nieobliczalny, obniżyć mu stopień służbowy! Nie wypłacajcie premii, trzeba działać, nie można na to wszystko spoglądać z założonymi rękami". To wszystko przypominaliśmy sobie w milczeniu, siedząc przy stygnącej kawie... Skąd więc ten szczery, obustronny stan radości przy powitaniu — czy przejaw bezpośredniej, optymistycznej pamięci, czy wspomnienie, że kiedyś byliśmy młodzi, dobrzy czy źli, ale młodzi. Dyrektor ocknął się z milczenia. „Chciałem" — powiedział — „obronić Pana przed filozofią, przed wierszami, chciałem, postępując surowo, zrobić z Pana dobrego, sumiennego urzędnika... Wyczuwałem w Panu coś złego, coś przed czym trzeba Pana ocalić...". „I nie ocalił mnie Pan, panie Dyrektorze, wszedłem już dość głęboko w gęsty, czarny las, z którego nie ma wyjścia. A Pan, kochany panie Dyrektorze, był wilkiem tego lasu, smokiem mojej baśni... Co tam, napijemy się jeszcze kawy!". Piliśmy jeszcze wiele kawy i innych trunków, łączyła nas stara, pradawna — nieprzyjaźń, dalekie, całkowite i serdeczne niezrozumienie.

BERNARD SZTAJNERT

OD NIEDZIELI DO NIEDZIELI

Album kolorowych okładek

DOWÓD PRZEOBRAŻEŃ — DZIEWIĘCIU ARTYSTÓW — MOŻNA BYŁO LEPIEJ — 300 OKŁADEK PROKULEWICZA — SELEKCJA PRAC — RZECZYWISTOŚĆ PIĘKNIEJSZA.

Wystawa w sam raz na lato. Zainteresowanie lekturą spada, ale pooglądać ładne obrazki zawsze warto. Wystawa Grafiki Książkowej Wydawnictwa Łódzkiego to zresztą nie tylko gigantyczny album z obrazkami. To przede wszystkim świadectwo przeobrażeń naszej łódzkiej firmy. Pamiętamy wszyscy szare, nieciekawe, zunifikowane okładki książek tego Wydawnictwa sprzed paru lat. Ewenementem były wówczas ilustracje, objawieniem dobre obwoluty...

A dziś? Wystawa dokumentuje owe przeobrażenia, w zmasowany, agresywny sposób pokazuje, że mamy edytora, który dba o szatę zewnętrzną książki, o jej „opakowanie". A przecież często ten oczywisty fakt umyka naszej uwadze. Potrzebna więc była taka wystawa, choć osobiście uważam, że można ją było przygotować lepiej.

Zacznijmy od ekipy artystów, prezentującej swoje prace na wystawie. Oto Zdzisław Głowacki — malarz, grafik, rektor PWSSP w Łodzi, laureat Nagrody Państwowej. Stanisław Ibis-Gratkowski, uprawiający rysunek satyryczny, grafikę książkową i plakat. Magdalena Kapuścińska-Borkiewicz od lat współpracująca z WŁ. Wacław Kondek, znany artysta uprawiający niemal wszystkie techniki plastyczne. Teresa Magrowicz, zajmująca się grafiką użytkową i artystyczną, współpracująca z WŁ i filmem. Andrzej Nawrot, laureat wielu konkursów graficznych i malarskich. Janina Musiałczyk, zajmująca się grafiką książkową i pracą pedagogiczną w pracowni malarstwa i rysunku w Pałacu Młodzieży. Roman Prokulewicz, świetny malarz i grafik, autor kilkuset projektów dla WŁ. Jerzy Sowiński, grafik — doradca plastyczny Wydawnictwa.

Oto ekipa. Zróżnicowana pod względem doświadczeń artystycznych, dorobku, wieku. Reprezentatywna ekipa. Dość powiedzieć, że Roman Prokulewicz zaprojektował dla Wydawnictwa Łódzkiego ponad 300 okładek. Ale — i tu się zaczną pretensje — na wystawie znalazły się projekty bardzo do siebie podobne, choć zabrakło wielu znakomitych okładek tego świetnego grafika. Zrozumiałe, że projektując wiele zdarzają się powtórzenia koncepcji, pomysłu — różne wersje tego samego chwytu. Uchodzi to w produkcji wydawniczej — niedobrze jednak, że na wystawie znajdowały się owe powtórzenia na jednej planszy. W planie wydawniczym lata dzieliły od siebie książki Wiśniewskiego, Kowalskiego, Szczygielskiego i artysta miał prawo próbować różnych rozwiązań tego samego chwytu. Ale zestawiając te prace obok siebie — sprawia się wrażenie monotonii, powielania... Można było tego uniknąć przeprowadzając bardziej wnikliwą selekcję prac.

Oczywiście Prokulewicz jest tu tylko przykładem — podobne zastrzeżenia można mieć i do prezentacji innych autorów. Zaprezentowano — jak się rzekło — projekty dziewięciu plastyków. Nie wiem jaki „klucz" zastosowali autorzy ekspozycji, choć wydaje mi się, że był to „klucz" ilościowy. Po prostu wystawiono prace autorów, mających na koncie największą ilość prac dla wydawnictwa.

Otóż nie wiem, czy było to rozwiązanie najsłuszniejsze. Z Wydawnictwem współpracują sporadycznie inni artyści, ba, nawet sami autorzy projektują okładki do swoich książek. Niektórzy z powodzeniem jak choćby Kosiński, (także przecież plastyk), czy Gomolicki. Dobrymi okładkami dla WŁ mogą się pochwalić Płóciennik, Grun, Derkowski... Znakomita jest także seria „Biblioteki Poetów" z roku 1957, w której kształt plastyczny tomikom nadali tacy artyści jak: Głowacki, Jaeschke, Kunka, Fijałkowski, Starczewski... Myślę, że ten element retrospekcji można było w ekspozycji wykorzystać. To prawda, że wspomniana seria z 1957 roku była w ówczesnej praktyce wydawnictwa wyjątkiem — ale pokazanie przykładów rozwiązań plastycznych sprzed lat trzynastu poszerzyłoby ramy ekspozycji.

Proszę mnie dobrze zrozumieć. Domyślam się intencji autorów ekspozycji — chodziło o pokazanie plastycznego dorobku WŁ z ostatnich lat i sama intencja jest słuszna, bo właśnie ostatnio zrobiono w tym względzie najwięcej. Można było jednak osiągnąć te same efekty sięgając nieco wstecz i rozszerzając ramy ekspozycji poza krąg dziewięciu autorów.

Dla kogoś niezorientowanego powyższe uwagi mogą sprawiać wrażenie krytycznych. Wbrew pozorom tak nie jest. Znam dorobek WŁ w dziedzinie grafiki książkowej (omówienie tego dorobku pióra A. Gruna znajdzie się zresztą w najbliższym numerze „Osnowy") — wiem zatem, że ów dorobek jest daleko bogatszy i ciekawszy niż prezentuje go wystawa.

Dlatego też, wyrzekając na skromność i wąskie ramy ekspozycji, chcę zwiedzającym dać do zrozumienia, że graficzny album WŁ jest w rzeczywistości ciekawszy i bogatszy niż to można wnioskować z wystawy w Salonie BWA. Słowem — rzeczywistość jest piękniejsza od pięknej, kolorowej wystawy. I w końcu to jest najważniejsze, bo nie wystawy są miarą osiągnięć, lecz codzienna praktyka.

JERZY WIDOK

JOSEPH COMMINGS

SINOBRODY

Jestem naczelnym redaktorem przeglądu publikującego nowele kryminalne, posiadam także prywatną agencję detektywistyczną, nazywam się Joe Commings. Od czasu do czasu trafi mi się jakaś sprawa szczególnie interesująca i wówczas próbuję ją sam rozwiązać. O takiej właśnie chcę opowiedzieć.

Panią Beatrice Hutton znam od wielu lat, jest to przystojna, siwawa kobieta w średnim wieku. Jej mąż zmarł przed trzema laty, pozostawiając niewielki majątek, który pozwalał jej żyć wygodnie, choć bez luksusów. Pewnego dnia gdy skarżyła mi się na ciągle rosnące koszty utrzymania, poradziłem jej, aby wzięła sublokatora. Dom miała obszerny, co najmniej jeden pokój mogła wynająć.

Posłuchała mej rady, dała do gazety ogłoszenie i w kilka dni później zjawił się młodzieniec o wyglądzie człowieka dobrze wychowanego i dystyngowanego. Poprosił o pokazanie pokoju. Pani Hutton od pierwszego wejrzenia poczuła do niego sympatię i ucieszyła się gdy oznajmił, że pokój mu się podoba i gotów jest go wynająć. Postawił jednak warunek, żeby gospodyni ustąpiła mu także poddasze. Żądanie swe umotywował nieokreślonymi aluzjami o pewnym wynalazku, nad którym pracował, a który wymagał większej przestrzeni. Pani Beatrice zgodziła się. Młodzieniec, który przedstawił się jako Percy Young, zapłacił komorne za trzy miesiące z góry i już następnego dnia wprowadził się do wynajętego mieszkania. Towarzyszył mu kierowca taksówki i chłopiec z sąsiedztwa. Przydźwigali trzy walizki i olbrzymi, wysoki kufer. Sublokator z szoferem zaniósł kufer na strych, a następnie rozłożył swe rzeczy w pokoju.

Gospodyni polubiła sublokatora, sympatia rosła z dnia na dzień.

Co wieczór Percy szedł na strych i pracował aż do późnej nocy. Pani Hutton, chociaż ciekawa, nie zadawała niedyskretnych pytań na temat jego zajęć. Była pewna, że gdy skończy to, co robił, sam jej wszystko opowie.

Pewnego dnia Percy Young nie wrócił do domu. Przez cały tydzień gospodyni oczekiwała go pełna niepokoju, nie wiedząc do kogo zwrócić się w tej sprawie. Wreszcie zdecydowała, że zawiadomi policję. Zjawiło się natychmiast kilku policjantów. Wysłuchawszy opowiadania zdenerwowanej kobiety, postanowili zbadać wszystko dokładnie. Obejrzeli pokój sublokatora, ale nie znaleźli nic podejrzanego. Następnie weszli na strych. Przetrząsnęli wszystkie kąty i wreszcie otworzyli wysoki kufer.

Ledwo zajrzeli do środka, gdy jeden z policjantów, potężny mężczyzna, zbladł i krzyknął przeraźliwie:

— O, mój Boże!

— Kobieta!... Kilka kobiet!... wyjąkał drugi.

— C z ę ś c i kobiet!

— To jakiś maniak seksualny!

To było wszystko, co pani Hutton usłyszała. W chwilę potem zemdlała. Wszystkie dzienniki ukazały się z wielkimi tytułami: „Nowojorski Sinobrody", „Makabryczne odkrycie na strychu". Codziennie pojawiały się nowe wiadomości na temat tajemniczego kufra. Podejrzewano, że każda z kobiet, które zaginęły w ciągu ostatnich lat, mogła się zetknąć z Percy Youngiem. To nazwisko stało się synonimem hańby. Lecz sam sprawca zbrodni był nieosiągalny. Mimo dokładnych nieustannych poszukiwań, policji nie udało się wytropić jego kryjówki.

Sprawa nabierała charakteru zbiorowej histerii, żeńska część ludności Nowego Jorku i okolic spędzała noce w strachu. Sklepy z wyrobami żelaznymi robiły złote interesy, sprzedając nowe zamki do drzwi.

Pewnego dnia, gdy czytałem w czasie śniadania potężny artykuł na ów emocjonujący temat, żona nagle mnie zapytała:

— Joe, dlaczego nie próbujesz rozwiązać tej zagadki?

— A dlaczego ja mam to robić? — odparłem.

— Dlatego, że podobno jesteś prywatnym detektywem — odcięła się żona.

— Rozumiem — przytaknąłem — lecz w imię czego mam sobie szukać zmartwienia?

— Przez szacunek dla pani Hutton. Przede wszystkim to przecież ty jej podsunąłeś myśl o wynajęciu pokoju sublokatorowi.

— Masz rację — musiałem przyznać. — Jeżeli to weźmiemy pod uwagę, jestem naprawdę zobowiązany pomóc tej kobiecie.

— A o innych kobietach, które trzęsą się ze strachu, wcale nie myślisz? Nie zaznają spokoju, dopóki potwór nie zostanie schwytany.

— Nie ma żadnych dowodów — mruknąłem.

Naturalnie, jak każdy szanujący się detektyw, oczekiwałem, że coś niespodziewanie wyskoczy, jakaś ważna wiadomość. I tak się stało. Policja znalazła Percy'ego Younga.

Ale to, zamiast być zakończeniem sprawy, stało się dopiero jej początkiem. Percy leżał w łóżku luksusowego hotelu w Catskill. Nie mógł nawet podnieść się, gdy policja wtargnęła do jego pokoju. Przechodził szpetny atak odry.

— Pomyśleć sobie — rzekł uśmiechając się wstydliwie — dostać odrę w moim wieku!

— Dostaniesz coś jeszcze gorszego — mruknął policjant, który zakładał mu kajdanki.

Tak więc Percy Young został doprowadzony przed trybunał. Zaczęła się jedna z najgłośniejszych spraw w kronikach sądowych Nowego Jorku.

Rodzice Percy'ego, zamożni ludzie, powierzyli obronę syna słynnemu adwokatowi z Filadelfii, panu Barneyowi Stone.

Niestety, Percy odmówił wszelkich zeznań, oświadczając, że z nikim nie będzie rozmawiał na temat makabrycznego kufra.

Śledziłem przez cały czas bieg sprawy. Szybko zrozumiałem, że muszę za wszelką cenę zobaczyć się z oskarżonym i wydobyć z niego tajemnicę upartego milczenia. Wreszcie przyszło zezwolenie na wizytę w celi. Był już najwyższy czas. Następnego dnia sprawa miała być zamknięta, po czym miała przejść w ręce przysięgłych.

Prokurator okręgowy Max Kryl, który marzył o wysokiej karierze politycznej, poświęcił się całkowicie tej sprawie, oskarżając Percy'ego Younga o wszystkie zbrodnie, popełnione od tego dnia, kiedy Kain zabił Abla. Przekopał się przez całe życie oskarżonego i przedstawił jego różne nieszkodliwe manie jako występne i groźne dla społeczeństwa. Energiczne repliki obrońców nic nie pomagały.

Nie było już czasu do stracenia. Mogłem nareszcie porozmawiać z Percym. Był blady i przygnębiony. Gdy nalegałem, aby mi chociaż powiedział, dlaczego odmawia zeznań i nie usiłuje usprawiedliwić się, nic się nie odezwał.

— Należy pan do zamożnej rodziny — dodałem. — Pański ojciec jest słynnym chirurgiem.

Wydało mi się, że po tych słowach jeszcze więcej posmutniał. Skinął głową i wyszeptał: — To prawda.

— I dalej nie chce pan nic mówić? — nagliłem.

— Nie.

To było wszystko. Nagle błysnęła mi pewna myśl, lecz było za mało czasu, aby sprawdzić jej słuszność.

Tej nocy pracowałem wiele.

DOKOŃCZENIE NASTĄPI

KRZYŻÓWKA OKOLICZNOŚCIOWA

POZIOMO: 1. Sklep samoobsługowy. 7. Autor powieści „Woda wyżej". 9. Zdrobniałe imię męskie. 11. Uwielbia domowe pielesze. 13. Władca litewski w średniowieczu w okresie poprzedzającym unię z Polską. 15. Schowek. 17. Moralizatorski utwór sceniczny. 19. Miasto na lewym brzegu Tamizy. 20. Wyspa w Archipelagu Arktycznym. 22. Imię królów norweskich. 23. Leży nad jeziorem Wener. 25. Przyjaciel Mickiewicza. 26. Kawałek mięsa bez kości. 27. Autor powieści „Głowy do pozłoty". 28. Najmilsze jeśli upalne. 29. Popularny krzew ogrodowy zwany potocznie lilaka. 30. Dawna kanapa. 31. Okres wynoszący 223 miesiące synodyczne — w starożytności przewidywano wg niego momenty zaćmień. 32. Poczucie własnej godności. 33. Pokarm dla kanarków. 34. Napój z mleka przefermentowanego. 35. Miasto, w którym odbyła się konfederacja barska. 36. Grupa wysp wulkanicznych w Polinezji na Oceanie Spokojnym. 37. Miasto w Birmie nad rzeką Irawadi. 39. Postać z „Pana Tadeusza". 41. Wąż azjatycki. 47. Połączenia metalu z tlenem. 51. Sędzia wydający wyrok na podstawie muzułmańskiego prawa religijnego. 52. Prezydent utworzonej przez Hitlera republiki słowackiej. (1939—45). 53. Nuta. 54. Na nich szczyt Narodnaja. 56. Muza pieśni miłosnej. 57. Grecka bogini literatury. 58. Miasto w zach. Turcji, znane z wyrobu dywanów. 59. Największy historyk rzymski. 60. Wyspa na Morzu Egejskim.

PIONOWO: 1. Uroczysta msza odprawiana w niedziele. 2. Imię kompozytora baletu „Gajane". 3. Finał wyścigu. 4. Wyspa koralowa między Porto Rico i Haiti. 5. Imię autora „Domku z kart". 6. Piłkarski mistrz Polski. 7. Pospolita nazwa oprzędu. 8. Uzupełnienie innego referatu. 9. Łączy piec z kominem. 10. Kraina historyczna w płn.-wsch. Hiszpanii. 11. Oznaczenie dnia, miesiąca, roku. 12. Jeden z utworów Gogola. 13. Afrykańskie drzewo o smacznych orzeszkach. 14. Łódzkie Studio Małych Form. 15. Wada wzroku. 16. Olbrzym. 17. Gramocząsteczka. 18. Jego stolicą jest Kazań. 21. Prawy dopływ Warty. 24. Mierzy szybkość statku. 29. Orszak konny asystujący podczas uroczystości. 30. Autor „Elektry". 31. Polak starej daty. 32. Ruda żelaza. 33. Surowiec przemysłu ceramicznego, papierniczego i tekstylnego. 34. Stolica Afganistanu. 35. Nieczystość. 36. Ptak mądrości. 38. Odkryty powóz z wysokim kozłem. 40. Uderzenie boksera. 41. Prawy dopływ Wołgi. 42. Oprawca. 43. Marka samochodu. 44. Wyspa na Morzu Egejskim. 45. Pływa zimą po rzece. 46. Miara wagi używana niegdyś w Polsce. 48. Okres czasu. 49. Stolicą jej Douglas (wspak). 50. Zaimek pytający. 55. Egipski bóg słońca.

Oprac. JERZY KAŁUŻKA

Rozwiązania krzyżówki należy nadsyłać pod adresem redakcji „ODGŁOSÓW" do dnia 31 sierpnia br.

Na zwycięzców czekają w drodze losowania cenne nagrody: 1. Odbiornik tranzystorowy, 2. elektryczny ekspres do kawy, 3. Męski zegarek na rękę.

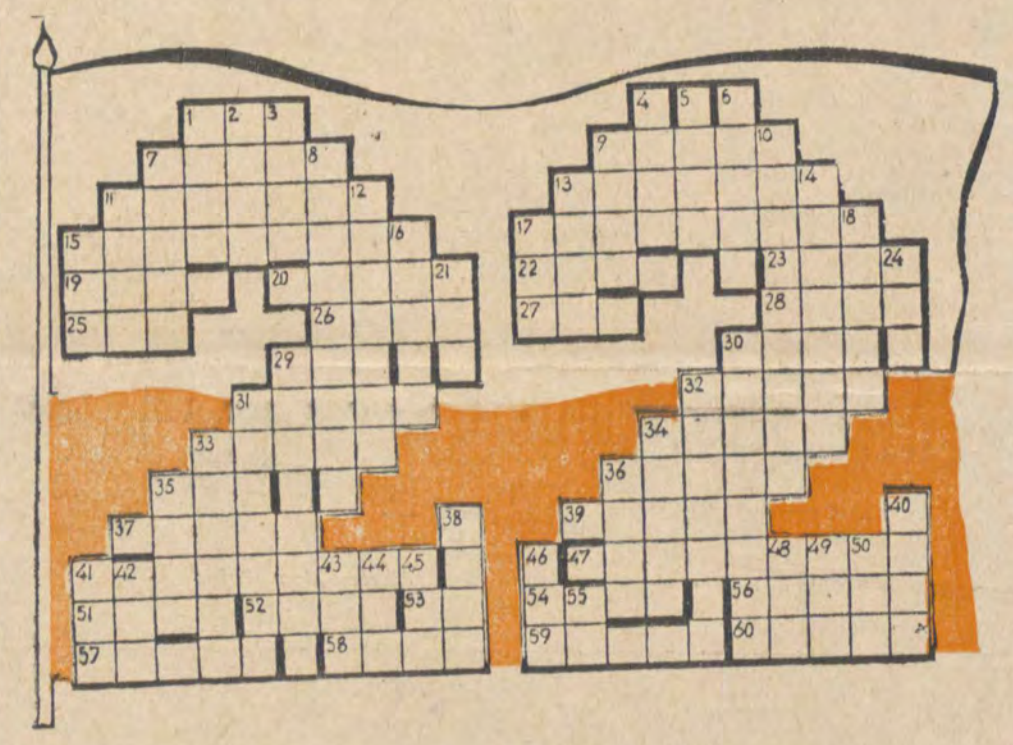

Lewym okiem

OBIEG INFORMACJI

Niczym nie zyskuje sobie człowiek takiego uznania i nie zaskarbia sympatii drugiego człowieka, jak podzieleniem się z nim jakąś ciekawą, najświeższą nowiną. Wiemy przecież jak niesłychanie trudno utrzymać na wodzy język, kiedy wie się coś bardzo frapującego, jak błyskawicznie rozchodzą się wiadomości czasem zupełnie nieprawdopodobne, plotki, bujdy, i wierutne bzdury.

Ale istnieje też i zjawisko odwrotne, również nietrudne do psychologicznego wytłumaczenia: bardzo niechętnie dzielimy się z bliźnimi tymi wiadomościami, których posiadanie stanowi cechę wyróżniającą, nobilitującą, przynoszącą konkretne korzyści, zwłaszcza te całkowicie wymierne w pieniądzu. Czasem naprawdę takie, a znacznie częściej — w subiektywnym przekonaniu ich posiadacza. To nie jest błaha rzecz.

Starszy referent wraca z konferencji ociekający atmosferą spraw ważnych i wyłączonych z publicznej dysputy. Starszy referent nie powie współpracownikowi od sąsiedniego biurka ani słowa o tym, co usłyszał na konferencji. Cała instytucja jest ciemna jak tabaka w rogu, gdy akurat starszego referenta nie ma pod ręką. On jeden jest zorientowany. Powiedzmy, że akurat go nie ma, a dzwoni telefon i ktoś żąda informacji lub wyjaśnień właśnie w tej sprawie, którą omawiano na konferencji. Urzędnik, podnoszący słuchawkę, odpowie zgodnie z prawdą, że nic o tym nie wie i wysłucha bardzo zdenerwowanych uwag o bałaganie i tak dalej, albo wyjaśni rzecz tak, że przez trzy lata później nie odkręcisz.

— Przecież byłem tydzień temu i poradzono mi tak i tak — podnieca się kiedy indziej zrozpaczony petent.

— Kto panu poradził, ja? No widzi pan. A tamtego kolegi nie ma i ja nie wiem co on chciał i co pan chciał i czego pan chce.

Dyrektor ma mnóstwo informacji niezbędnych dla działania podległego aparatu, ale nie zdąży ich przekazać, albo zapomni, albo jest rozbrająco przekonany, że wszyscy też to powinni wiedzieć choćby z powietrza. Żąda, żeby każdy zgadywał, czego żąda.

Wydział ministerstwa wydaje polecenie „w dół", nie informując o tym sąsiednich wydziałów, które w tym samym czasie wydają polecenia odmienne. Ponieważ twórczość w zakresie poleceń jest łatwiutka i bardzo pięknie odsuwa własne jakiekolwiek merytoryczne działanie w sferę tak zwanego „nadzoru" czyli upominania się o terminową sprawozdawczość (rzadko kiedy czytaną), więc też i dezorientacja tych, co odbierają polecenia, jest nader zaawansowana.

Są też całkiem malutkie, dwu - czteroosobowe instytucyjki, gdzie wzajemna niewiedza o niczym sięga platońskich, czystych ideałów niewiedzy. Wydawałoby się, że ktoś siedzący w takim pokoju nie może nie wiedzieć, co robi sąsiad obok niego. Ale nie wie. Przez całe lata nie ma zielonego pojęcia. Nigdy niczego nie znajdzie w aktach kolegi. Nigdy nie zapamięta przepisów i zasad, według których tamten załatwia swoje sprawy. Nic nie wie o tamtym, i nic tamtemu nie powie o sprawach własnych. Na dwóch słońcach dwa przeciwne bogi.

Większość decyzji podejmuje się — taka jest przynajmniej teoria — kolegialnie. Bardzo wiele spraw rozpatruje się komisyjnie. Kolegium i komisja to grono ludzi, czasem dość duże. Jest aż nadto różnych przyczyn, że takie grono nigdy nie zbierze się dwa razy w identycznym składzie. Dla każdego nowego składu każda rzecz jest od początku nowa, bo poprzednik niczego nie przekazywał następcy, bo protokółów nie ma, bo informacje ogranicza się do pamięci uczestników i jakichś tam osobistych, zaszyfrowanych notatek. Dlatego większość kolegialnych decyzji jest przypadkowym wynikiem różnego stopnia niewiedzy poszczególnych uczestników.

Jest znaną i niezbyt wesołą prawdą, że geniusze organizacji nie rodzą się u nas na kamieniu. Mamy świetnych fachowców, mamy dużo mądrych ludzi, szwankuje organizacja czyli talent porządkowania rzeczywistości. Jestem więcej niż przekonany, że główny odcinek błędu w tym zakresie — to obieg informacji.

A przecież byle plotka tak szybko przelatuje przez wszystkie głowy, tak świetnie wszyscy są od razu ZORIENTOWANI!

ĆWIEK.—

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Roman Łoboda (kier. działu literackiego), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6 zł, kwartalnie 18 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Łódź, ul. Żwirki 17 Zam. 1508 H-18.